

w W. Brytanii	1 sh.
w Australii	1.50 Sch.
w Belgii	5 fr. b.
w Francji	25 fr. fr.
w Holandii	40 cent.
w Niemczech	50 Pf.
w Portugalii	2 esc.
w Szwajcarii	40 rp.
w Szwecji	75 öre
w Włoszech	40 lir.
w Brazylii	3,5 Cr.
w Australii	1 sh 3d
w Argentynie	1 peso
w Kanadzie	15 cent.
w Libanie	50 P.L.
w Stanach Zjedn.	15 cent.



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

ROK X SOBOTA, 23 WRZEŚNIA 1950 R. Nr. 38 (429)

W 429 NUMERZE:

Resztki Polaków w Niemczech — Paweł Dunin
Studia nad Polską — S. Klinga
Szwecja — Korea — Sowiety — W. Patek
Oficyna Poetów i Malarzy — (wiersze i rysunki)
W żelaznym lesie kominów Birmingham — Marian Czuchnowski
Udział Polaków w Kongresach Paryskich — Z. L. Z.
Walter 7,65 — Janusz Jasieńczyk

POWRÓT MARSHALLA

Nie tak dawno temu W. Lippmann nazwał przedkoreańską politykę Stanów Zjednoczonych deficytową dyplomacją. Miał on na myśli ten fakt, że dyplomacja amerykańska brała na siebie znacznie więcej zadań i zobowiązań w dziedzinie polityki zagranicznej, niż istniejące amerykańskie siły zbrojne mogły skutecznie podtrzymać. A wiadomo, że najostrożniejsza nota dyplomatyczna lub najgłośniejsze słowa ministra nie mają znaczenia, jeśli nie są podparte bagnetami.

Być może, że jeszcze i dzisiaj istnieje niekorzystny stosunek między

amerykańską polityką i siłami zbrojnymi. Tak przynajmniej twierdzą niektóre koła w Stanach Zjednoczonych. Politykę można jednak robić czasem na wyrost, jeżeli równocześnie dokonywuje się rzeczywista praca budowy sił zbrojnych. To zresztą jest osobne zagadnienie. Zjawiskiem, które ściga dzisiaj na siebie uwagę, jest nabieranie przez politykę amerykańską rozmachu, w miarę tego, jak rozwija się mobilizacja ludzkich i materialnych zasobów Stanów Zjednoczonych.

ZBROJENIE W CZERWIECZNYCH WROGÓW

Przykładem tej inicjatywy jest równoczesne zaatakowanie przez amerykańską dyplomację dwóch najtrudniejszych i najbardziej ryzykownych zagadnień w polityce międzynarodowej — sprawy niemieckiej i sprawy japońskiej. W ciągu ostatniego tygodnia Acheson postawił całkiem ostro wobec swych europejskich sojuszników żądanie ich zgody na uzbrojenie narodu niemieckiego, a Truman oświadczył na konferencji prasowej, że rząd amerykański jest już od dawna zdania, iż naród japoński zasługuje na traktat pokojowy, który wprowadziłby go z powrotem w charakterze równouprawnionego członka do rodziny wolnych narodów.

Postawienie na porządku dziennym każdej z tych spraw, a tym bardziej obu równocześnie, wymaga odwagi, ponieważ myśl o uzbrojeniu Niemiec i Japonii napotyka na silne opory wśród narodów, które przeszły najazd ze strony jednego lub drugiego z tych krajów. Można więc wnosić, że albo Stany Zjednoczone czują się dostatecznie silne, by ryzykować niezadowolone swych sojuszników, albo uważają, że sytuacja międzynarodowa jest na tyle groźna, że usprawiedliwia jak najbardziej energiczne działania; albo jedno i drugie łącznie.

Rozgrywka dyplomatyczna o uzbrojenie Niemiec Zachodnich rozpoczęła

OPORY WIELKIEJ BRYTANII I FRANCJI

Bevin, który wylądował w Ameryce z oświadczeniem, że jest przeciw uzbrojeniu Zachodnich Niemiec, już ustąpił z tego stanowiska i zgodził się na to uzbrojenie „w zasadzie”, zastrzegając się co do terminów i kolejności, natomiast Francja sprzeciwia się bardzo zdecydowanie. Opór Francji czyni na razie bezprzedmiotowym brytyjskie ustępstwo. Być może, że to ustępstwo właśnie dlatego zostało tak łatwo uczynione, ponieważ różnica pomiędzy brytyjskim i amerykańskim punktem widzenia jest bardzo duża. Różnica ta wynika i z odmiennych interesów i z odmiennych ocen położenia. Wielka Brytania robi swoje ograniczone plany uzbrojenia z terminem wykonania w ciągu lat 3, co wprawia amerykańską opinię w furję, ponieważ ta opinia, razem z czynnikami oficjalnymi, ocenia, że sytuacja krytyczna może powstać w ciągu najbliższych trzech miesięcy.

NOMINACJA MARSHALLA

Z czego kraje europejskie są bardzo zadowolone, to z nominacji gen. Marshalla na Sekretarza Obrony Stanów Zjednoczonych. Najczęściej wymienianym powodem zadowolenia jest, że Marshall, będąc w czasie wojny szefem sztabu był zwolennikiem poglądu, że europejski teatr wojenny jest strategicznie ważniejszy od daleko-wschodniego. Ponadto przypomi-

nie 12 września na konferencji ministrów spraw zagranicznych, naprzód tylko Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji, a potem wszystkich 12 państw Paktu Atlantyckiego. W istocie rzeczy sprawa rozstrzyga się wyłącznie między wymienionymi trzema partnerami. Wydaje się, że układny Acheson postawił sprawę twardo i bez nadmiernych dyplomatycznych ceregieli. Między innymi miał on dać do zrozumienia swoim europejskim kolegom, że sprawa bynajmniej nie wygląda w ten sposób, jakoby istniał wybór między zwiększeniem amerykańskich garnizonów w Europie, a tworzeniem zachodnio-niemieckich oddziałów, lecz że musi nastąpić jedno i drugie. Sformułowanie to jest niejasne i nasuwa przypuszczenie, że Ameryka uzależnia wysłanie swych wojsk do Europy nie tylko od przyspieszenia uzbrojenia państw Paktu Atlantyckiego, ale także od ich zgody na pewne uzbrojenie Niemiec. Amerykanie nadają temu żądaniu pewne strategiczne uzasadnienie, ponieważ posłanie do Europy dziesięciu amerykańskich dywizji w warunkach kiedy Francja ofiarowuje 5, a Wielka Brytania powiększa liczbę swoich z 2 do 3, oznaczałoby po pierwsze branie na amerykańskie barki więcej niż połowę ciężaru obrony Europy, a po drugie byłoby dużym ryzykiem wojskowym.

Z brytyjskich i francuskich posunięć wynika coraz jaśniej, że oba te kraje nie wierzą, by atak sowiecki w Europie mógł nastąpić w najbliższym czasie, a natomiast obawiają się, że Stany Zjednoczone mogą przyspieszyć wybuch wojny swoimi posunięciami politycznymi i wojskowymi. Obawa, że istotne tworzenie niemieckich dywizji mogłoby skłonić Rosję do energicznego działania w Europie nie jest pozbawiona podstaw, chociaż Churchill w to wątpi. Mimo to, z wojskowego punktu widzenia Amerykanie twierdzą, że francuscy politycy są przeciw uzbrojeniu Niemiec, ponieważ obawiają się swojej opinii publicznej. Powiadają oni wprawdzie, że uzbrojenie Niemiec jest tylko kwestią czasu, lecz w praktyce zawsze będą zdania, że czas jeszcze nie nadzedł.

na się, że to właśnie Marshall, zbadawszy sytuację w Chinach, doszedł do wniosku, że rząd Cziang-Kai-Szeka nie utrzyma się i złożył odpowiedni raport. Wreszcie podkreśla się, że Marshall będzie zgodnie współpracował z Achesonem, co nada amerykańskiej polityce więcej zwartości i siły. Pewien lewicowy i antyamerykański tygodnik brytyjski znalazł jeszcze je-

(Wydarzenia i uwagi)

den powód do zadowolenia: stwierdził on radośnie, że Marshall jest jedynym człowiekiem, który potrafi „wylać” MacArthura. Ciekawe, czy tygodnik ów żywi jeszcze tę nadzieję, po niewyjątkowo pomyślnej i wspaniale kierowanej przez MacArthura operacji desantowej na Korei?

Wszystkie wymienione fakty są prawdziwe, lecz wnioski wyciągane z nich są przedwczesne. Wnioski te wyrastają przeważnie z pragnień autorów i nie biorą pod uwagę, że sytuacja, na razie przynajmniej, wcale nie jest taka sama, jaka była w czasie ostatniej wojny. Gen. Marshall oddawał pierwszeństwo Europie przed Dalekim Wschodem, kiedy wojna była i tu i tam. Dziś w Europie wojny nie ma, a na Dalekim Wschodzie Stany Zjednoczone prowadzą wojnę i czynią to faktycznie w pojedynkę. W tych warunkach pierwszeństwo jest siłą rzeczy na rzecz terenu aktualnych działań wojennych i Marshall na pewno inaczej do tej sprawy się nie ustosunkuje. Poza tym, jeśli kraje europejskie dają jak najwyraźniejszy, bo czynny, wyraz swemu przekonaniu, że nie obawiają się agresji ze strony Rosji w najbliższym czasie, to na jakiej podstawie mogą one żądać pierwszeństwa dla siebie? Można raczej przypuszczać, że Marshall, jako autor

Planu jego imienia, będącego w założeniu niczym innym, jak tylko globalnym planem strategicznym walki przeciw Rosji, będzie z większą ener-

gią niż Johnson dążył do skutecznego podporządkowania członków Paktu Atlantyckiego kierowniczej woli Stanów Zjednoczonych.

ODMIENNOŚĆ DZISIEJSZEJ SYTUACJI

W ogóle rozumowanie na podstawie porównań z poprzednią wojną może grubo zawieść swoich autorów. Na przykład, gdy chodzi o Daleki Wschód, to nie bierze się pod uwagę, że w czasie drugiej wojny światowej walczyło tam przeciw innemu przeciwnikowi, niż w Europie. Oddawanie wówczas pierwszeństwa Europie wynikało nie tylko z rozważań czysto geograficznych, lecz również i z tego, że ważniejszą rzeczą było pobić naprzód Niemcy, jako przeciwnika potężniejszego od Japonii. Chodziło więc nie tylko o ważniejszy teren, lecz i o ważniejszego przeciwnika. Dzisiaj zaś czy w Europie czy w Azji przeciwnik jest ten sam. Pozostaje więc tylko sama sprawa wyboru terenu walki, co zależy w dużym stopniu i od Rosji. W Wielkiej Brytanii często są wypowiedziane obawy, że Stany Zjednoczone mogą doprowadzić swą nieopatrzoną polityką do wojny z Chinami. W odpowiedzi na to można by zaryzykować twierdzenie, że przedłużanie stanu bezbronności Europy stwarza dla Rosji całkowite bezpieczeństwo od tej strony i ułatwia Rosji działanie w Azji przeciw Stanom Zjednoczonym oraz przeciw resztkom europejskich

posiadłości i interesów. Nie należy się spodziewać, że Marshall będzie postępowal tak samo, jak wtedy. A już na pewno nie można go będzie przekonać, że obrona Europy jest ważniejsza dla Ameryki, niż dla samych Europejczyków, co polityka niektórych państw europejskich wydaje się milcząco zakładać.

Różnica w porównaniu z 1941-45 rokiem polega i na tym, że wtedy trzeba było Japonię pobić, a dziś trzeba ją obronić i zrobić z niej sojusznika. Dla osiągnięcia tego celu Stany Zjednoczone są gotowe pójść bardzo daleko, mianowicie przywrócić Japonii całkowitą wolność gospodarczą i polityczną, łącznie z prawem zbrojenia się. Stany Zjednoczone chcą zachować bazy w Japonii oraz trzymać tam siły zbrojne, lecz nie na podstawie traktatu pokojowego, a na zasadzie dwustronnej umowy. Wyspa Okinawa oraz inne wyspy Archipelagu Ryukyu chcą Stany Zjednoczone trzymać w charakterze „powiernictwa strategicznego”, wylączającego nadzór O. N. Z. Słowem, Stany Zjednoczone chcą zachować na Dalekim Wschodzie całkowitą swobodę działania (Dalszy ciąg na str. 8)

GENERAL ANDERS W KANADZIE

We wtorek 12 września br. General Władysław Anders przybył na statku „Empress of Canada” do Montrealu. Skąd udał się na zaproszenie Marszałka Lorda Alexandra do Ottawy.

Na dworcu kolejowym Union w Ottawie powitali Generała licznie zgromadzeni reprezentanci organizacji polskich na terenie Kanady oraz przedstawiciele władz miejscowych. Prasa kanadyjska zarówno francuska jak i angielska zamieściła fotografie z powitania Generała i nacechowane życzliwością obszerne artykuły.

Na drugi dzień po przyjeździe Gen. Andersa do Ottawy odbyło się zebranie towarzyskie u min. Wiktora Podolskiego przy udziale kolonii polskiej oraz stu kilkudziesięciu osób ze świata dyplomatycznego.

PROGRAM POBYTU GEN. WŁ. ANDERSA W KANADZIE

Według otrzymanych w ostatniej chwili wiadomości program pobytu

gen. Wł. Andersa w Kanadzie przewidywał jego przyjazd w dniu 20 września do Toronto. Program ten zapowiadał w szczególności wizyty Generała u gubernatora prowincji Ontario, u premiera rządu prowincjonalnego, u kardynała McGuigana i u Mayora miasta. Dalszymi punktami programu była konferencja prasowa, obiad spożyty z przedstawicielami organizacji polskich, akademii zorganizowana przez Polonię i przyjęcie u kombatantów.

W czwartek przewidywany był przyjazd Generała do Hamiltonu i przyjęcie przedstawicieli organizacji polskich, akademii w sali kombatantów, następnego zaś dnia złożenie wieńca przed pomnikiem Nieznanego Żołnierza i wyjazd do St. Catharines, gdzie również miejscowe polskie organizacje kombatantkie i społeczne przygotowały na piątek i sobotę szereg przyjęć i uroczystości na cześć gen. Andersa.

wystąpił w podobnym duchu marszałek lotnictwa Sir Hugh Saunders. Wszystkie te inicjatywy skierowane do społeczeństwa brytyjskiego mają na celu zasilenie Funduszu Społecznego Samopomocy Lotniczej, by mógł on nadal pomagać finansowo przeszło 800 wdowom i sierotom oraz udzielać zapomóg i pożyczek członkom Stowarzyszenia.

My, Polacy, mamy wobec lotników dług jeszcze innego rodzaju. Po kampanii wrześniowej, niedocenionej na Zachodzie, który nie zrozumiał wielkości żołnierza polskiego, bijącego się wówczas samotnie z przemocą niemiecko-sowiecką, lotnicy polscy, walcząc w bitwie o W. Brytanię, wynieśli na oczach całego świata na najwyższe wyżyny chwałę polskiego oręża i polskiego imienia. Dlatego czcząc pamięć tych, którzy zginęli w wielkiej bitwie o Wielką Brytanię — pragniemy wyrazić jedyne właściwe tu życzenie, by lotnikom polskim, którym broń odebrano, danem było osłonić znowu polskimi skrzydłami naszą zwaloną ziemię.

Na cmentarzu Polskim w Newark

W 11 rocznicę wybuchu 2. wojny światowej w N. A. B. hostelu Northwick Park (Gloucestershire) staniem miejscowych organizacji społecznych i placówki Komitetu Oświaty Polaków w W. Brytanii zorganizowana została wycieczka do Newark, dla odwiedzenia grobów poległych w latach wojny lotników polskich. Wycieczka, składająca się z 30 osób, złożyła kwiaty na grobach lotników, oraz Prezydenta R. P. Raczkiewicza i Nacz. Wodza W. P. gen. W. Sikorskiego, którzy spoczywają pośród nich.

Pamięć o Polskich Lotnikach

Dorocznym zwyczajem społeczeństwo brytyjskie obchodzi we wrześniu rocznicę słynnej bitwy powietrznej o Wielką Brytanię. W tym roku upłynęło 10 lat od tego zwycięstwa, w którym lotnictwo polskie wzięło czynny i zasłużony udział. Samopomoc Lotnicza przypomniała ten fakt wydając w języku angielskim broszurę p. t.: „Battle of Britain Review”. Celem wydawnictwa było przypomnienie społeczeństwu brytyjskiemu o udziale polskich sił powietrznych w ostatniej wojnie, jak też zebranie funduszu na cele charytatywne Samopomocy Lotniczej. Polscy lotnicy zamierzają ro-

zesłać broszurę swoim brytyjskim przyjaciółom i znajomym. Z podobną inicjatywą wystąpił Patron Stowarzyszenia marszałek lotnictwa Sir John Slessor, który ogłosił w „The Times” z dnia 11 września list do redakcji, w którym wskazał społeczeństwu brytyjskiemu na jego dług wdzięczności wobec lotników polskich oraz ich rodzin. Na łamach zaś „The Observer” z dnia 17 września

Walter 7,65... na stronie 7

PAWEŁ DUNIN

RESZTKI POLAKÓW W NIEMCZECH

Wiadomo już dziś, że do końca marca przyszłego roku, kiedy IRO ma ulec ostatecznie likwidacji, program emigracyjny nie będzie w całości wypełniony. Ostatnio tempo emigracji zostało trochę przyhamowane z dwu powodów: stanęła emigracja do Australii wskutek braku statków i przeladowała przejściowych obozów w tym kraju, oraz zwoleń się tempo emigracji do Stanów Zjednoczonych w związku z kryzysem personalno-organizacyjnym w europejskiej ekspozyturze D. P. Commission.

Ten zbieg okoliczności jest dość nieszczęśliwy dla uchodźców, gdyż okoliczności zewnętrzne czyniłyby raczej wskazanym przyspieszenie emigracji. Także i ze względu na obecne położenie w Niemczech należałoby sobie życzyć szybszego wyjazdu tych, którzy wyjechać mogą. Powstaje obecnie wielkie zapotrzebowanie na mieszkania koszarowe, dotychczas zajmowane przez dipisów. Obozy likwiduje się i ścieśnia w pozostałych, przeważnie najgorszych pod względem położenia geograficznego (blisko strefy sowieckiej) i komunikacyjnego oraz stanu budynków. Ostatnio na przykład nastąpiła ostateczna likwidacja jednego z najstarszych i największych obozów polskich w Heilbronne (Schwabenhof), w którym mieściło się ostatnio na terenie strefy amerykańskiej gimnazjum polskie.

Przenoszeniu towarzyszy rozbijanie istniejącego aparatu organizacyjnego, tudzież coraz większe rozpraszenie ludności polskiej. Jest rzeczą charakterystyczną, że z początkiem bieżącego roku przy znacznie większej liczbie Polaków mieszkali oni w 13 obozach, a obecnie mieszkają w 23. Zagadnienie szkoły polskiej stało się przez to jeszcze trudniejsze, gdyż szczupłe siły nauczycielskie nie wystarczają na zapewnienie nauki we wszystkich klasach wszystkich ośrodków.

Zresztą zagadnienie szkoły nasuwa i inne trudności. Zostało ono przewidywalnie załatwione w sposób względnie zadowalający na terenie okupacji brytyjskiej i francuskiej, gdzie istniejące szkoły pozostały do końca marca przyszłego roku przy zapewnieniu uposażenia nauczycieli przez władze niemieckie. W strefie francuskiej następuje to przez rachunek kosztów okupacyjnych, jak to miało miejsce do końca czerwca we wszystkich obozach irowskich na terenie całej Republiki Związkowej. W strefie brytyjskiej władze krajowe niemieckie same zgodziły się na utrzymanie nadal szkół dipisowskich w obecnej formie przy opłaceniu personelu przez rządu krajowe.

Najgorzej wygląda sprawa w okupacji amerykańskiej, gdzie po prostu uznano, że nie będzie wielkiego nieszczęścia, gdy dzieci w obozach emigracyjnych przez rok nie będą się w ogóle uczyły, zaś dzieci w obozach przenoszonych na gospodarke niemiecką, powinny chodzić do szkół niemieckich. Obecnie czynione są zabiegi na terenie poszczególnych krajów, by dojść do jakiegoś sensownego rozwiązania sprawy szkolnej. Czym się to skończy trudno jeszcze przewidzieć, ale np. na terenie Wirtembergii-Badenii już nakazano zamknięcie szkół polskich po obozach i posyłanie dzieci do szkół niemieckich. W chwili, gdy to piszę, przedstawiciele ludności polskiej w Wirtembergii czekają na przyjeździe przez pana ministra oświaty tego kraju...

Trzeba powiedzieć, że zrozumienie dla postulatów polskich w tej dziedzinie ze strony przedstawicieli mocarstw okupacyjnych jest bardzo małe. Mają oni inne, według nich o wiele ważniejsze sprawy do załatwienia z władzami niemieckimi, a zagadnienie dipisów uważają za niepotrzebne obciążenie stosunków z Niemcami. Łączy się z tym typowo amerykański punkt widzenia na zagadnienie emigrantów.

Kto mieszka w Niemczech powinien być Niemcem, skoro nie udało mu się wyjechać do Ameryki, gdzie ma zostać Amerykaninem. Zastanawiamy się nieraz dlaczego Amerykanie tak uparcie bronią się przed dopuszczeniem myśli, że mogłoby być inaczej. Uznając jednak, że ludzie, którzy przybyli do jakiegoś kraju mogą zachować swą narodowość, a nie przyjmować narodowości kraju nowego

siedlenia. Amerykanie przekreślili by podstawy, na których opiera się istnienie narodu amerykańskiego. Mając do czynienia w ciągu ostatniego stulecia niemal wyłącznie z emigracją zarobkową, Amerykanie nie są zdolni do zrozumienia istoty i celów emigracji politycznej.

Polacy w Niemczech zdani są w tej sytuacji głównie na własne siły. Wobec składu pozostającej w Niemczech grupy polskiej nie jest dobrze. Ludność obozów dla pozostających składa się z następujących kategorii: chorzy i starcy, niezamężne matki, rodziny chorych, którzy znajdują się w szpitalach, a wreszcie tacy, którzy nie mogą wyemigrować, gdyż byli karani. Są jeszcze np. rodziny wartowników. Nikt przy tym nie ma zamiaru zostawać na stałe i „urządzać się” w Niemczech, z jednym może wyjątkiem ożenionych z Niemkami. Na tym właśnie polega trudność jakiegoś ustalenia bytu Polaków.

Trzeba stwierdzić, że obiektywne warunki gospodarce dla pozostających w Niemczech nie byłyby najgorsze. Muszę powiedzieć, że p. Ursyn przeholował nieco, powtarzając za Schachtem krytyczną ocenę obecnej sytuacji gospodarczej tego kraju („Orzeł Biały” nr. 35 426). W rzeczywistości dobrobyt w Niemczech jest duży, bezrobocie, zresztą niewielkie, jest w znacznej mierze wynikiem... wysokich zasiłków dla bezrobotnych. Wiadomo, że Niemcy wytrzymują ogromny budżet dla dotkniętych ciężarami wojny. Ilość dipisów

jest tak mała, że Niemcom po prostu nie opłaci się nie dotrzymywać w zbyt rażący sposób ogólnikowych zobowiązań wobec mocarstw okupacyjnych dotyczących ich równouprawnienia z niemieckimi „*flüchtlingami*”. Ustawodawstwo niemieckie przewiduje tak różnorodne i wszechstronne formy pomocy dla dotkniętych niedolą, że niezdolni do pracy mogą zawsze uzyskać minimum egzystencji, a zdolni mogą uzyskać pomoc przy zakładaniu własnych przedsiębiorstw a nawet budowie własnych domów, jeżeli tylko będą mieli ku temu ochotę, a także jeżeli umieją zabiegać o swoje interesy. Wypadek ten zachodzi jednak rzadko z uwagi na rodzaj materiału ludzkiego, pozostającego w Niemczech.

Do jakiego stopnia wszystko zależy od ułożenia sobie stosunków z władzami niemieckimi widać stąd, że w niektórych krajach strefy brytyjskiej położenie dipisów w obozach przeniesionych na gospodarke niemiecką jest lepsze niż było w obozach irowskich, a w strefie amerykańskiej jest na odwrót w obozach „niemieckich” gorzej niż w irowskich.

Trudno mi sobie wyobrazić, kto w obozach przeniesionych na gospodarke niemiecką miałby organizować przedsiębiorstwa, zabiegać o budowę osiedli dla dipisów i t. p. Ludzie, którzy mogliby się tym zająć, albo wyjechali, albo wyjadą w najbliższym czasie. Pozostanie kilkadziesiąt tysięcy bezradnych, którzy będą węgetowali w warunkach obozowych, od-

dając dzieci do niemieckich szkół, a po likwidacji obozów pójdą do pracy na roli, oddając dzieci do niemieckich ochronek.

Niestety dotychczas nie ruszyła z miejsca akcja, mająca powołać do życia organizację polską, przystosowaną do nowych warunków, która może mogłaby w niejednym zmienić na lepsze tę niewesołą sytuację. Jak wszędzie tak i tu przeciwstawia rzekomo polityczne stają na przeszkodzie wykonaniu koniecznych zadań.

IRO i przedstawiciele mocarstw okupacyjnych domagają się od Niemców jak najszybszej likwidacji obozów i przydzielenia dipisom mieszkań prywatnych. Niemcy tłumaczą się brakiem mieszkań, który jednak jest wynikiem raczej rozszerzenia przestrzeni mieszkalnej, zajmowanej przez Niemców, gdyż ruch budowlany jest bardzo żywy. Naciski na likwidację obozów wzmożą się, gdyż koszty będą potrzebne. Ale postulat: mieszkań prywatnych jest przyjmowany z mieszanymi uczuciami przez organizację polską. Z jednej strony za mieszkania te trzeba by płacić podczas gdy w obozach mieszka się bezpłatnie, a poza tym rozproszenie ludności polskiej ostatecznie uniemożliwi jakąś planową akcję obrony polskości młodego pokolenia, a przede wszystkim dzieci. Do tego jednak z czasem dojdzie i stawiam sobie pytanie, czy najlepszym wyjściem nie byłoby powołanie wspólnej organizacji starej i nowej emigracji? Wiąże się to z zawyżonymi zagadnieniami ostatecznego uwohnienia starych emigrantów od wpływów konsulatów. Jest to zagadnienie... środków materialnych. Jak można namawiać starych emigrantów do wyrzeczenia się opłacania nauczyciela polskiego przez konsulat, jeżeli nie można opłacać tego nauczyciela ze źródeł polskich?

Reżym wystąpił ze Światowej Organizacji Zdrowia

(Korespondencja własna „Orla Białego”)

Genewa, we wrześniu 1950.

Dr Brock Chisholm, dyrektor naczelny Światowej Organizacji Zdrowia otrzymał od Juliana Przybosia, posła reżymu w Bernie, list z zawianowaniem o wystąpieniu z tej organizacji. Jak wiadomo, zarówno Rosja sowiecka jak i wszystkie państwa satelickie dawno już opuściły organizację.

W przeciwieństwie do innych państw wschodnich reżym nie ograniczył się do lakonicznej noty z kilku zdani, ale uzasadnił swe wystąpienie w obszernym piśmie. Oto w streszczeniu tekst noty Przybosia:

„Polska przystąpiła do Światowej Organizacji Zdrowia w przekonaniu, że statut tej organizacji stanowi podstawę akcji, zmierzającej do podniesienia poziomu zdrowotnego, zlikwidowania następstw wojny, jak też walki o trwały pokój, przeciw wojnie napastniczej, tej wyższej przyczynie chorób i cierpienia ludzkości.

„Niestety już na pierwszej sesji OMS okazało się, że jedno z państw, a mianowicie Stany Zjednoczone, żąda dla siebie wyjątkowego stanowiska w organizacji.

„W szczególności w czasie trzeciej sesji OMS w Genewie, komitet wykonawczy poparł akcję dyrektora naczelnego, zmierzającą do wywozu ze Stanów Zjednoczonych do niektórych krajów europejskich „ekstraktorów Pobielniaka”, a to w celu umożliwienia tym krajom a m. in. i Polsce fabrykowania na miejscu penicyliny. Jednakże Stany Zjednoczone odmówiły wykonania tego zalecenia komitetu wykonawczego. Podobnie uniemożliwiły one wymianę informacji o wyrobie streptomycyny, aeromycyny itp., naruszając w ten sposób podstawową zasadę Organizacji Zdrowia, która polega na udostępnieniu wszystkim krajom rezultatów badań i odkryć w dziedzinie zdrowia i leczenia.

„Organizacja Zdrowia nie zajęła żadnego stanowiska przeciw kryminalnym planom użycia broni atomowej i bakteriologicznej.

„Wreszcie OMS dostarczyła dodatkowego dowodu niewierności wobec zasad, którymi winna się kierować i poddania się polityce państw imperialistycznych przez przyjęcie do organizacji klik Bao-Dai i Li-Syn-Man, które nikogo nie reprezentują”.

Ta obszerna nota reżymu wywołała również obszerne komentarze prasy szwajcarskiej. Prasa ta podkreśla, iż niezależnie od specyficznego języka i starych, oklepanych już sloganów o „imperialistycznych klikach” i „podżegaczach wojennych”, pewne argumenty są więcej niż słuszne i więcej niż prawdziwe. Dotyczy to w szczególności zarzutu pod adresem Stanów Zjednoczonych i całej afery z „ekstraktorami Pobielniaka”. Jest to aparat konieczny do wyrobu penicyliny. Uznając, że penicylina jest obecnie artykułem pierwszej potrzeby w lecznictwie, Organizacja Zdrowia wezwała rzeczywście St. Zjedn. do dostarczenia 6 ekstraktorów dla krajów wschodnio-europejskich.

Z drugiej jednak strony, podkreśla prasa szwajcarska, Polska wycofuje się z Organizacji Zdrowia dopiero po otrzymaniu bardzo znacznej pomocy z tej organizacji. „Polska wiele zażądała i wiele otrzymała” pisze „La Tribune de Geneve”.

W szczególności pomoc Organizacji Zdrowia dla Polski w ostatnich tylko miesiącach objęła: pomoc w organizacji w całym kraju sieci sanitarnej dla zwalczania chorób wenerycznych, zarówno przez wysłanie instruktorów w osobach wybitnych ekspertów i profesorów, jak i materiału sanitarnego wartości 15.000 dolarów; zorganizowanie centrum badań biochemicznych i dostarczenie materiału dla nich za 25.000 dolarów; pomoc w organizacji sieci sanitarnej dla walki z gruźlicą przez dostarczenie materiału i sprzętu lekarskiego, wysłanie specjalnej misji lekarskiej, która dała szereg kursów w różnych instytutach naukowych polskich. Wreszcie na 800 stypendiów na studia specjalne w zakresie medycyny, przyznanych różnym krajom, lekarze polscy zajmują jedno z pierwszych miejsc z ilością aż 119 stypendiów!

(amk)

S. KLINGA

Studia nad Polską

Najbardziej spotykaną i najmniej poszukiwaną na emigracji specjalnością jest znajomość zagadnień społecznej Polski. Stwierdźmy naprzód fakt, zanim zajmujemy się jego przyczynami.

Zadanie jest niewątpliwie trudne. Materiału prasowego jest wprawdzie dużo, ale ta jego ilość jest tylko dodatkowym utrudnieniem. Utrudnieniem głównym jest rodzaj i charakter wszystkich wydawnictw krajowych. Wzorem sowieckim w dzisiejszej Polsce zadaniem książki i prasy jest zacieranie i fałszowanie prawdy, a nie jej poszukiwanie. Uniemożliwienie poznawania faktycznej rzeczywistości społecznej i gospodarczej jest dla komunistów poza stosowaniem przemocy fizycznej, głównym środkiem utrwalenia raz zdobytej władzy. Wiadomo, że ci, którzy krajem rządzą, mają zawsze najszerszy i najnikliwszy dostęp do faktów społeczno-gospodarczego życia, lecz w normalnym niekomunistycznym społeczeństwie nie mają oni wyłącznego monopolu. Każdemu wolno badać i studiować na własną rękę. Ta swoboda poznawania społecznej rzeczywistości jest jedną z zasadniczych podstaw ustroju demokratycznego, gdyż dzięki niej inne środowiska poza partią rządzącą mają możliwość śledzić przejawy życia i nabywać wiedzę, konieczną do rządzenia państwem, gdy przyjdzie na nie kolej. Władcy Rosji nie od razu zorientowali się w tej roli wiedzy społeczno-gospodarczej. Pierwszy plan pięcioletni, ogłoszony w latach 1928-9, był obszernym pięciotomowym dziełem, dającym pełny wgląd w sytuację Rosji, oraz dającym rozległe podstawy do orientacji w zakresie celów, do których zmierzala polityka gospodarcza rządu.

Już jednak w pokwie lat trzydziestych wynaleziono system takiego przedstawiania rzeczywistości oraz takiego podawania do wiadomości publicznej planów działania, żeby nikt postronny, poza głównymi czynnikami rządzącymi, nie mógł się zorientować, co się w kraju rzeczywistość dzieje i do jakich celów rząd dąży. System ten teraz został zastosowany w Polsce. W ustroju komunistycznym tylko grupa wtajemniczonych ma dostęp do rzeczywistej wiedzy o państwie i tylko ci mają możliwość nabycia tej wiedzy, których rząd uznaje za godnych wtajemniczenia. Prasa i książki ogłaszają masę szczegółów, lecz tak ułożonych, że

ogólnego obrazu istniejącego stanu rzeczy nie można sobie na podstawie tych wydawnictw wytworzyć. Prasa nie daje zatem materiału umożliwiającego krytykę całości polityki oraz stniejącego stanu rzeczy. Krytyka zaś jest w ogóle wzbroniona. Wolno krytykować tylko szczegóły i tylko w tym kierunku, by potwierdzać i wzmacniać całość. W ustroju komunistycznym zatem istnienie opozycji politycznej jest nie tylko tłumione, lecz jeszcze z góry zapobiega się temu, by mogła poza partią komunistyczną powstać, wyrobić się i umysłowo wykształcić jakakolwiek grupa ludzi, posiadająca minimum wiedzy niezbędnej nie tylko do rządzenia krajem, lecz nawet do rozumienia jego sytuacji na poziomie dającym możliwość dyskusji z komunistycznym punktem widzenia. W ten sposób komunistom zamyka drogę do powstawania grup ludzkich i prądów umysłowych, zdolnych w stosownej chwili do przejęcia władzy nad państwem od komunistów.

Zdawałoby się, że to jest właśnie powód, dla którego emigracja powinna oddać się badaniom zachodzących w Kraju wydarzeń i przemian. Wydawałoby się, że jest to jedna z racji istnienia emigracji politycznej. Zadanie, jakkolwiek trudne, nie jest niemożliwe. Trudności stanowi ilość materiału. Z tego wynika, że studiowanie zagadnień krajowych nie może być zajęciem pobocznym, lecz musi być wyłączną specjalnością. Trudnością jest żargon marksistowski, w jakim pisze prasa krajowa. Bez znajomości zatem podstaw marksizmu nie zawsze można odcyfrować, o co naprawdę chodzi. Ta stroną zagadnienia trzeba się zainteresować, bo słuszną jest obserwacja, że między ludźmi, którzy nigdy nie ulegali wpływom marksizmu, a ludźmi, którzy tym wpływom ulegali, istnieje duże trudności wzajemnego rozumienia się. Dziś naród polski w Kraju ulega wpływom marksizmu przymusowo. Im dłużej ten stan rzeczy trwa, tym bardziej będą rosły trudności rozumienia się w swobodnej wymianie zdań pomiędzy Polakami wychowanymi w Kraju, a Polakami, wykształconymi na emigracji.

Dla wielu spośród nas czytanie prasy krajowej jest męczące i denerwujące. Drażni nas przyjeżyty żargon, drażni bezcelne kłamstwa, drażni niski poziom, a tych, co przeszli przez Ro-

sję, drażni dodatkowo podobieństwo ze stylem piśmiennictwa sowieckiego. Gdy chodzi o resztki prasy niekomunistycznej, a więc pisma katolickie, to trudności rozumienia też istnieją. Prawdziwie katolicki krakowski „Tygodnik Powszechny”, pisze coraz częściej rzeczy oderwane od rzeczywistości. Trzeba pewnej wiedzy i pewnego wysiłku umysłowego, żeby dociec o co chodzi, gdy się czyta artykuł o starożytnej greckiej filozofii, bo ten artykuł ma mimo wszystko związek z obecną rzeczywistością. Czytanie tygodnika, tak zwanych reżymowych katolików „Dziś i Jutro” stanowi inne zagadnienie: tygodnik ten pisze tak, żeby być z jednej strony prawowiernym z komunistycznego punktu widzenia, a z drugiej strony maskować przed czytelnikami swoje zaprzaństwo, co razem wymaga prawdziwej akrobacji umysłowej.

Istotną przyczyną, jednak zaniedbania studiów nad zagadnieniami krajowymi na emigracji nie są trudności tej pracy, lecz układ emigracyjnych stosunków społeczno-politycznych. Masa emigracyjna jest z natury rzeczy zajęta zarobkowaniem i urzędowaniem sobie życia. Organizacje społeczne zajmują się, również z natury rzeczy, pracą organiczną. Natomiast te czynniki polityczne, którym warunki i okoliczności umożliwiają wyłączne zajmowanie się działalnością polityczną składają się z t. zw. ludzi czynu, lekceważących wszelkie studia. Wolą oni poświęcać swój czas i energię np. na dążenie do obalenia na emigracji konstytucji z 1935 roku, widocznie chyba dlatego, by zatrzeć różnicę między emigracją i krajem. Poznawanie zaś sytuacji krajowej wydaje się im zajęciem zbyt oderwanym od emigracyjnej rzeczywistości politycznej, a przez to pozbawionym praktycznego znaczenia.

Zaniedbanie studiów nad polską rzeczywistością społeczno-gospodarczą mogłoby być wyrazem politycznego pesymizmu, bo gdyby nie było nadziei na powrót, to istotnie nie byłoby po co zajmować się zagadnieniami krajowymi. Nawiasem mówiąc kończy już studia i wchodzi w życie generacja młodzieży, kształcącej się na zachodnich wyższych uczelniach. Są między nimi ekonomiści i statystycy. Należałoby dla nich stworzyć możliwości prowadzenia badań nad Polską, a nie wypychać ich wszystkich bez reszty tylko w obec życie i obec sprawy.

OFICyna POETÓW I MALARZY

CZESŁAW BEDNARCZYK

Żonie mojej Krystynie

PATRZE

przez okno jak przez lornetkę
w teatrze
na klon, który jest sceną pełną anarchy.
Każdy tancerz ma kostium zielony.
Dmie orkiestra wiatrów.
Prócz mnie
przyszły do teatru
domy i kamienice w białych tynkach, więc pewnie dzieciwie,
I przyszła budka, która FISH AND CHIPS sprzedaje,
i przystanek tramwajowy,
mój dobry znajomy,
i przyszedł wózek z owocami,
i duży kubek z rogu handlujący kwiatami
na balet gałęzi klonowych.

Scenę oświetla słońce.

Każdy liść trzyma dzwoneczek złoty,
więc z dzwoneczkami płynie muzyka.

Są też obłoki, ale w łożu wysokiej.

A porządku pilnuje upał
w świecących guzikach.

Z cyklu: PEJZAŻE.



Z. TURKIEWICZ

MADONNA

CZESŁAW BEDNARCZYK

OKNO

OKNO wzięło w ramę ulicę
i prosi o podpis: Utrillo.

Bzuch jezdni otwierają robotnicy:
chirurgzy ścieków.

O szyby tłuką pięści huk.

W pokoju moim milczenie
z żoną jak z chmurą z gradem.
Kuchienka sapie garnkami,
ciężko miła miłowe chwile
do sęci zwanej Obiadem.

Przy obiedzie żona przypnie sobie
uśmiech jak różę. Chmura przepadnie.
Otworzę ulicę
na stronicę Robotnicy
i będę czytał jak czytanke przed Ojcem
ładnie.

Każdy robotnik to strofa,
strofy rosną w poemat
z tytułem Praca,
którą ozdobi klomb kwitnący
jak barwna ilustracja.

Zmierzch. Pod dzwonami latarni
ponieśli robotnicy ciężar otwartej
jezdni.

Z cyklu: PEJZAŻE.

MARIAN CZUCHNOWSKI

Mgła poranna

Zbyt wczesna miłość i szybkie rozstanie,
Jak chory płomień co liście osmala.
Gasną, zanim je rzuci z drzew na powitanie
Jesieni, co słupy zielonych chmur na ziemię obala,
Wyściela rowy chłodem, pustką i szkarlatem,
Ze pachną zimnem, żelazem i kwiatem.

Porwane wstęgi, garście słomy, zaświecenie księżycy,
Wszystko razem w nieladzie się wala;
Razem z myślami jak obęgi, jak rozpacz, która cię przesyca,
Spać nie możesz. Nie usniesz do świtu choć szyby rozpala.
Biel się puściła kłębami z ogrodu
Za bramę, za rowy pełne księżycy, liści, twoich trosk i chłodu.



Z. TURKIEWICZ

NOTATKA Z LONDYNU

Życie kulturalne w kraju i na obczyźnie

ODCZYTY, WYSTAWY, FOTOGRAFIKA, TEATR,
FILM I TANIEC

Londyn, 17 września 1950.

W przededniu rocznicy „Bitwy o Anglię” Instytut Historyczny po krótkiej przerwie wznowił 14 bm. swą działalność odczytów ppłk. F. Kalinowskiego na temat „Bitwa powietrzna w W. Brytani w r. 1940”. Lapidarnymi językiem cyfr i faktów prelegent przedstawił dramatyczne chwile, w których ważyły się losy wojny i udział w nich lotników polskich, o czym tak łatwo się zapomina nawet w tym kraju. Również Kl. Tow. YMCA wrócił do normalnego toku prac, urządzając m. in. odczyt znanego sprawozdawcy W. Trojanowskiego o „Sporcie w Anglii i Polsce”, podkreślając wartości etyczne i znaczenie społeczne życia sportowego.

Doszło też wreszcie do otwarcia 13 bm. wystawy rysunków, akwareli i olei Leli Pawlikowskiej w obecności licznych przedstawicieli świata literackiego i artystycznego. Słowo wstępne wygłosił prof. M. Bohusz-Szyszko. Równocześnie nadeszły wiadomości z Manchesteru o wystawie polsko-angielskiej pary artystów Albina i Laury Trowskich p. t. „Manchester widziany innymi oczyma”. P. Trowski jest zasiedziałym od czasów przedwojennych artystą zatrudnionym jako rysownik wzorów w przemyśle włókienniczym.

Z braku miejsca odsuwając na przyszłość omówienie przygotowań do wystawy fotografów polskich i pomijając tu echa wystawy oświatowej urządzonej z racji zjazdu SPK ograniczymy się do stwierdzenia wielkiego ożywienia w życiu teatralnym w Londynie i na prowincji. Londyńskiej premierze sztuki Hemara poświęcamy osobną recenzję, poza tym czynny jest „Kabaret 7”, Klub „Pod Grzybem”, gdzie wystąpiła A. Iwanowska. „Kawiarnia Artystyczna”, gdzie wystąpiła p. J. Gembicka. „Niebieski Balonik” z krotchwilą Budzyńskiego i Markowskiego, i „Piekielko” w Kl. Samopomocy Marynarki Woj. W Szkocji występuje Teatr Komedia ze sztuki „Po co przyszedł Judyta”, a w Manchesterze zespół Teatru im. Słowackiego ze sztuką „Sekretarka Pana Prezesa”. Teatr

Aktora zaś dał farsę „Jutro Pogoda” w Leicester.

Przybrała też na natężeniu akcja wyświetlania filmów polskich. W Ipswich dano „Włóczęgi” ze Szczepciem i Tońkiem, w Bedford i Clapham Common „Wielką Droge”, a w Bradford „Piętro wyżej” i „Polska dywizja pancerna w walce”.

Wreszcie wypada donieść o zorganizowaniu po długich staraniach kursu t. zw. Tańca Plastycznego pod kier. znanej solistki p. Poli Gobińskiej. Ćwiczenia odbywają się wieczorem w sali teatralnej Klubu Białego Orła. P. Gobińska ma dyplom szkoły J. Mieczysławskiej, gdzie pracowała pod kier. R. Sorel i G. Grockiego, występowała samodzielnie we własnych kompozycjach tanecznych, była przed wojną wykładowczynią w Państw. Inst. Sztuki Teatr. pod dyr. A. Zelwerowicza, brała udział w Międz. Konkursie Tanecznym w Brukseli 1939 r., gdzie była nagrodzona, a ostatnio uczestniczyła w pokazie w Royal Academy of Dancing, odtwarzając stylizowany taniec ludowy. Urządzony kurs pozwoli miłośnikom tańca zapoznać się z podestawami tańca pozaballetowego, a aktorom da sposobność do utrzymania się w należytej formie ruchowej w ich pracy scenicznej.

(n)

NOWE WYDAWNICTWA

TEATR AMATORSKI — Materiały Oświatowe — Autorzy opracowań:

Przeróbki i odświeżania futer. Nowe modele futer na składzie.

POLSKI KUŚNIERZ

Langer & Co. (Furrier) Ltd., 1, Notting Hill Gate, London, W. 11. Tel.: BAY 3773

Nowo otwarty Dział KRAWIECKI pod kierownictwem mistrza p. Domba. Sukna pierwszej jakości na składzie. Specjalne ceny eksportowe.

Tymon Terlecki, Wacław Radulski, Zygmunt Nowakowski i Marian Czuchnowski. Redaktor: dr Zofia Kasprzycka. Wydawnictwo Wydziału Kultury i Oświaty Zarządu Głównego Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Londyn 1950, Str. 135 i 1 nl.

Tom ten uzupełniony jest bogatą bibliografią przedmiotu zebraną przez T. Terleckiego, oraz informacjami praktycznymi. Okładkę projektował Stanisław Gliwa.

ALEKSANDER FREDRO: Pierwsza lepsza czyli Nauka zbawienna. Komedia w 1 akcie wierszem. Londyn 1950 str. 24 i 8.

Jest to odbitka z „Poradnika Świetlicowego” stanowiąca pierwszy tomik wydawnictwa „Biblioteczka Teatralna” nakładem Sekcji Polskiej YMCA w W. Brytani i Zarządu Głównego Stow. Polskich Kombatantów. Tomik ten zawiera 8 stronicowy dodatek historyczno-reżyserski pióra T. Terleckiego.

WIKTOR BUDZYŃSKI: Kelnerzy. Utwór sceniczny w 1 akcie. Londyn 1950, str. 32.

Również odbitka z „Poradnika Świetlicowego” wydana nakładem YMCA i SPK jako drugi tomik Biblioteczki Teatralnej zawierający teksty nutowe do piosenek zawartych w tej jednoaktówce.

TEODOZJA LISIEWICZ: Dwa ognia. Utwór sceniczny w jednym akcie. Londyn 1950, Str. 24.

Trzeci tomik Biblioteczki Teatralnej wydany również nakładem YMCA i SPK jako odbitka z „Poradnika Świetlicowego”.

SZKOŁA NAUK POLITYCZNYCH I SPOŁECZNYCH — Wolna Wyższa Uczelnia Polska. Londyn 1950, str. 26 i 2 nl.

Wydawnictwo to jest małą monografią o Szkole Nauk Politycznych i Społecznych. Na broszurkę składają się następujące rozdziały:

1) Powstanie i cele szkoły, 2) Metody i plan nauki, 3) Organizacja SNPS, 4) Zarys programu SNPS, 5) Lista osób współpracujących, 6) Uczelnia w Londynie, 7) Kurs korespondencyjny SNPS, 8) Oddział w Paryżu, 9) Polska Szkoła dla Dorosłych, Polskie Liceum Korespondencyjne, 10) Fundusz SNPS i 11) Zakończenie.

Sztokholm, we wrześniu. Zdawałoby się, że Skandynawia przeszła od półtora roku z pierwszego na dalszy plan w zainteresowaniach opinii zachodniej.

Zdarza się jednak często, że obiektywne powody zainteresowania dla obserwatorów zagranicznych istnieją nadal, a jedynie brak uzmysławiających je faktów powoduje, że opinia publiczna nie poświęca im takiej samej uwagi.

Tak przedstawiały się właśnie w ubiegłym okresie sprawy na północy Europy. W początkach 1949 roku odłączyła się pozornie gładka, lecz w istocie usiana trudnościami ścieżka neutralności szwedzkiej od wspólnego szlaku Paktu Atlantycznego, na który wstąpiły Norwegia i Dania. Stało się to w styczniu 1949 r., jak zawsze tutaj za wzajemnym porozumieniem przedstawicieli poszczególnych rządów, w pięknej malej miejscowości nad wielkim szwedzkim jeziorem Vättern.

Usiłowano wtedy pozyskać Szwecję chociaż dla aliansu nordyckiego, ale odmówiła stanowczo, nie chcąc osłabiać swego potencjału przez uzbrajanie zupełnie wówczas bezbronných obu sąsiednich krajów.

TRZY NIEBEZPIECZNE ZDARZENIA

W okresie jednego tylko miesiąca trzy zdarzenia przecięły północny horyzont, oświetlając jeszcze raz niebezpieczeństwa na jakie Szwecja jest narażona ze Wschodu. Zdarzenia te bezpośrednio łączą się z Bałtykiem. Pierwsze miało znaczenie symboliczne, drugie — jak najwięcej zasadnicze, ostatnie — charakter lokalny, choć niepozabawiony znaczenia ogólnego. Są to: 1. tutejsze echa ucieczki Poiaka Stefanowicza, zbiegłego statkiem sowieckim z Anglii, a podejrzanego o udział w zbrodni pospolitej; 2. sprawa szerokości sowieckich wód terytorialnych i 3. rozszerzanie się akcji szpiegowskiej z „żelaznej kurtyny” za pośrednictwem uchodźców polskich.

TAJEMNICA E. STEFANOWICZA

O 4 rano 20 lipca sowiecki statek żegluga regularnej „Sestoreck” wysadził na pełnym morzu na pld. wschód od największej wyspy szwedzkiej Gotland, Eugeniusza Stefanowicza, którego wydania zażądał Scotland Yard najpierw od kapitana przed wyjściem z Kanału Kilońskiego, następnie zaś od władz szwedzkich. 17-godzinne opóźnienie, z którym „Sestoreck” przybył do Sztokholmu, pozwoliło sowieckiemu holownikowi „Neptun” zabrać na pokład Polaka, dając z drugiej strony czas ekspertom szwedzkiego MSZ przestudiować całe zagadnienie.

Zadanie ekstradycji zbiega ze statku stanowiącego całkowite własność państwową nie miało bowiem precedensu w prawie międzynarodowym. Sam kanclerz uniwersytetów szwedzkich (stanowisko nieznanne w innych krajach, co jakby nadrektor wszystkich wyższych uczelni) prof. Undén, jednocześnie będący ministrem spraw zagranicznych, studiował podobno osobiście to zagadnienie, położenie geograficzne Szwecji zawsze bowiem każe jej specjalnie ostrożnie ustosunkowywać się do wszystkiego, co dotyczy Sowietów.

Czyż S. odgrywał jakąś poważniejszą rolę polityczną? Jeśli nie, to czemu czynniki sowieckie zadaly sobie w jego sprawie aż tyle trudu, łamiąc ponadto przepisy o wzajemnym wydawaniu przez cywilizowane państwa przestępców pospolicznych — zapytywała prasa szwedzka? Chyba nie tylko dlatego, że jakaś podejrzana osobistość zgłosiła się do konsulatu reżymowego i czując za sobą pościg policyjny, zapragnęła niezwłocznie powrócić do kraju? S. mówiący podobno nieźle po angielsku, francusku i rosyjsku, przesiadając się dopiero na „Neptuna” miał półgłosem powiedzieć — pod adresem angielskich towarzyszy podróży jadących do Helsingforsu: „Udało mi się jakoś to wszystko”.

Zawinąwszy do Sztokholmu, mógł więc istotnie z czystym sumieniem oświadczyć kapitan komisji śledczej, że Stefanowicza nie ma na pokładzie. Władze szwedzkie słusznie bowiem zdecydowały ostatecznie, że sowieckie statki handlowe, mimo że stanowią własność państwa, nie mogą być inaczej traktowane, niż jednostki handlowe, należące do jakiegokolwiek właściciela w krajach kapitalistycznych. Zasada prawa międzynarodowego głosi bowiem, że obce władze portowe

mają za wiedzą kapitana prawo wejścia na statek handlowy, ściganie zaś przestępców pospolicznych zawsze do tego upoważniają.

WODY TERYTORIALNE NA BAŁTYKU

O ile sprawa powyższa została rozegrana między trzema partnerami: angielskim, szwedzkim i sowiecko-warszawskim, to następne wydarzenie o charakterze zasadniczym interesuje wszystkie społeczeństwa, których kraje położone są nad Bałtykiem, a w szerszym sensie cały świat cywilizowany. Chodzi o pretensje sowieckie do 12-milowego pasa wód terytorialnych. Od stuleci europejskie kraje uzgodniły, że granice morskie przebiegają 3—4 mil (Szwecja np. 4 mile) od linii brzegowej. Rosja żąda od pewnego czasu 12 mil. Cała sprawa nie jest wcale czystą formalnością, chodzi o prawo rybołówstwa, jak i swobodnego przebywania na tych wodach statków i okrętów innych państw. Tymczasem mnożą się zadrzażenia na tle bezprawnego z zachodniego punktu widzenia rewidowania i uprowadzania statków i kutrów rybackich. Co więcej, nie ogranicza się to tylko do tych rozszerzonych już wód terytorialnych, ale zdarza się, że na zupełnie otwartym morzu przylapany jakiś kuter duński, czy jakiś szwedzki „Marion” nie powraca przez miesiące całe do macierzystego portu. Czasem nie powraca nigdy. Czasami zaś, jak szwedzki „Larex”, ścigany jest przez sowieckie statki strażnicze z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału aż pod Gotland.

Szwedzka prasa wysunęła w związku z tym myśl, rzucaną już przed rokiem, po „sowietyzacji” obyczajów na polskich statkach strażniczych, udzielenia na otwartym morzu szwedzkim statkom handlowym i rybackim asysty floty wojennej, ale zdaje się, że wobec kończącego się za parę miesięcy sezonu rybackiego, nie wyjdzie to poza ramy dyskusji.

BAŁTYK — JEZIOREM SOWIECKIM

Sprawa zasięgu wód terytorialnych jest jednak zaledwie przegrzywką do szerszej akcji. Istota leży w rozbudzonych na nowo w Moskwie marzeniach, starych jak świat, o Mare Nostrum, czyli przekształceniu Bałtyku w zamknięte jezioro sowieckie. Zadańcioną ta choroba mocarstwa w swoim czasie, w w. XVI i XVII kolejno nie pozwalała spokojnie spać najpierw królom duńskim, a potem szwedzkim. Obecnie jak widać grasuje na Kremlu i zaraziła członków Politbiura.

W czasie posiedzenia komisji prawniczej „Wszczęzwiazkowego Stowarzyszenia dla Kulturalnych Stosunków z Zagranicą” (*Wszczęzwiazkowe Obszczestwo Kulturnoj Swiazzi z Zagranicj* — WOKS) doszli zebrani do tych samych wniosków, jakie przyniosła opublikowana w czasopiśmie „*Sowieckie Państwo i Prawo*” (*Sowietskie Gosudarstwo i Prawo*, Nr. z 18 czerwca 1950) rozprawa na Wydziale Prawa Uniwersytetu Moskiewskiego studenta S. W. Mołodsowa, z kolei powołującego się na jednego z sowieckich znawców prawa międzynarodowego, prof. Korowina.

Zdaniem tych wszystkich „autorytetów” zasada: „Bałtyk — morzem otwartym”, nie daje się pogodzić z ulegalizowaną obroną suwerenności i niezależności narodowej krajów nad nim położonych. Też powyższą motywuje Mołodsow całkiem po prostu zmianami, które „zaszły w wyniku drugiej wojny światowej i wzrostem potęgi Sowietów”. Siegra też do argumentów historycznych.

Zdaniem jego, zawarte z końcem XVII wieku między Danią, Szwecją i Rosją konwencje o nieprzepuszczeniu przez Oresund okrętów wojennych państw pozabałtyckich dalej mogą stanowić podstawę historyczno-prawną i to pomimo, że formalnie przestały one obowiązywać już na początku następnego stulecia. Zdaje się, że najbliższym celem tej całej akcji jest zmuszenie pozostałych jeszcze wolnych państw nadbałtyckich do odnowienia takiej właśnie konwencji, dla której pierwowzoru szuka się całkowicie bezpodstawnie w traktacie z 27 lipca 1857 r. nie biorąc zresztą pod uwagę, że wprowadzał on tylko ułatwienia dla żegluga handlowej i znosił cło pobierane przedtem w Oresundzie, nie wspomina zaś o jednostkach wojennych. Dążenia sowieckie wynikają też jasno z artykułu zamieszczonego ostatnio w biuletynie Sowieckiej

W. PATEK

SZWECJA - KOR

Akademii Nauk, w którym wyraźnie mówi ono, że nadszedł czas dla „połączenia mocarstw bałtyckich porozumieniem celem zaprowadzenia kolektywnej kontroli w Oresundzie i Belcie”. Trzeba tu zaznaczyć, że od czasów Napoleona I i jego „blokady kontynentalnej”, skierowanej przeciw Anglii, żadne przepisy nie ograniczają żegluga, swobodnej dla wszystkich, poprzez cieśninę bałtycką.

Toteż złożone 24 lipca jednobrzmiące prawie noty — duńska i szwedzka stanowczo odrzuciły pretensje sowieckie do 12-milowego pasa wód terytorialnych, zaznaczając, że oznacza to „wtargnięcie na wolne morze i jego okupację”.

Inna sprawa jakie praktyczne skutki mogą mieć oba te kroki dyplomatyczne. Uchodzący zazwyczaj za niezłe poinformowanego przez swego korespondenta sztokholmskiego „*New York Times*” już w trzy dni potem zapewniał, że skandynawskie kraje liczyć mogą na poparcie Departamentu Stanu w Ameryce, jeśli zdecydowałyby się przedłożyć powyższą sprawę do rozpatrzenia Radzie Bezpieczeństwa ONZ lub Trybunałowi Międzynarodowemu w Hadze. W Szwecji najpoczytniejsze pro-amerykańskie „*Dagens Nyheter*” poddało myśl represji gospodarczych. Za przetrzymywanie statków i załóg należy uwolnić się wcześniej od niedogodnego traktatu handlowego, zawartego w 1946 roku na lat 5 z Sowietami i połączonego z jeden miliard koron liczącym kredytem towarowym. Luka w staraniach Stanów Zjednoczonych odcieczą Związek sowieckiego od dostaw, mających znaczenie strategiczne, zostałyby dzięki temu zlikwidowane.

Zdaje się jednak, że zawsze spokojnie reagujący na sowieckie poczynania rząd szwedzki niechętnie wkroczyłby na tę drogę. Za czasów Zygmunta III przebywając z wojskami polskimi w Moskwie Żółkiewski starał się działać ostrożnie, bo „Pan Bóg był wysoce, a Rzeczpospolita daleko”. Zamiast Rzplitej postawiwszy Stany Zjednoczone będziemy mieli reakcje szwedzkie wyjaśnione. Zresztą wystarczy zacerpnąć Szwedom przykłady z własnej historii. W 1721 roku pragnąc po śmierci Karola XII, ostatniego króla-wojownika, skłonić Szwecję do pokoju, przeprowadzili Rosjanie szereg desantów, połączonych z mordowaniem cywilnej ludności, rabunkiem i pożogą nadbrzeżnych miast szwedzkich. Między innymi los taki

spotkał port nad Zatoką Botnicką. Söderhamm. 27 lipca b. r., czyli w dniu, w którym zacytowany wyżej artykuł ukazał się w „*New York Times*”, przeszła pod Söderhamm, chwilowo jeszcze szkolna, eskadra rosyjska, płynąc znacznie bliżej, niż o 12 mil od wybrzeży szwedzkich.

SOWIECKI ATTACHE MORSKI PODRÓŻUJE

Trzecie wydarzenie z wyliczonych na wstępie łączy się pośrednio z opisaną „defiladą” sowiecką w Zatoce Botnickiej. Władze policyjne stwierdziły, że w dniach 30 i 31 lipca sowiecki attaché morski z zastępcą i dwoma urzędnikami ambasady obserwowali z żagłówki przez lotnietwo umocnienia na wyspie Landsort, położonej w strefie zakazanej okręgu sztokholmskiego, niedaleko od portu naftowego Nynshamn. Stacja pilotów położona w pobliżu stwierdziła przy tym, że dokonali oni bardzo systematycznych pomiarów głębokości i zdjęć aparatem filmowym. Przed rokiem podobna wyprawa na wyspę Utö skończyłaby się odwołaniem winowajców na żądanie tutejszego MSZ. Tym razem zanim jeszcze zaznajomiono się w zagranicznym urzędzie z końcowym raportem policyjnym, oświadczone, iż z chwilą stwierdzenia i zakomunikowania sprawcom ich przekroczenia, sprawę uznało się za wyczerpaną. Ostra nagana udzielona w połowie sierpnia przez szefa sztabu była jedyną karą dla komandora Dimitra Lariczewa, który odmówił przy tym wydania filmów, zrobionych podczas wspomnianej wyprawy.

Zastanawiającym jest, jak lekko Szwedzi puszczają płazem silnym swym sąsiadom tego rodzaju występki. Urzędnicy sowieccy podczas każdego letniego sezonu robią sobie takie „podróże odkrywcze” po całej Szwecji. Trzy lata temu rosyjski wojskowy przydzielony do tutejszej ambasady sowieckiej przez dwa czy trzy dni spokojnie obieźdzał rowerem północne umocnienia szwedzkie nad granicą fińską, a posuwający się za nim policjant nie odebrał mu nawet aparatu fotograficznego, pomimo, że od razu skomunikował się przez telefon ze szwedzkim MSZ. Ostatecznie każda taka wyprawa zmniejsza obronność sprawdzonych fortyfikacji o pewien stosunkowo znaczny procent. Widać jednak strata nie zawsze jest tak duża, skoro jak ostatnio nie była warta nawet wywołania dyplomatycz-

nego zajścia. Tak samo ustosunkowywano się ostrożnie w pierwszym okresie ubiegłej wojny światowej do wykroczeń niemieckich i jakoś one nie zaskoczyły Szwecji.

Zresztą zdaje się, że w tym roku teren tutejszy obserwowany jest przez szereg wywiadów środkowo-europejskich, spośród których „reżymowy” ze

„KROKI NA

W TEATRZE IM.

Wystawieniem sztuki p. t. „Kroki na schodach” M. Hemara Polski Teatr Dramatyczny im. J. Słowackiego powrócił do dobrego zwyczaju dawania zajmujących sztuk w rodzaju J. Pietrkiewicza „Sami swoi” lub J. Zawieyskiego „Rozdroże miłości”. Wersja sztuki Hemara powstała przez wzięcie przez niego szkieletu, czy pomysłu ze sztuki W. Somina „Zamach”. Konflikt między anarchistami i imperialistami w sztuce skrajnie lewicującego autora został przy tym przedstawiony o 180 stopni na konflikt między socjalizmem i komunizmem. Dopatrzeć by się więc tu można chęci bicia wroga jego własną bronią.

Znając znakomite rzemiosło pisarskie Hemara z zamkniętymi oczyma wolno przyjąć, że praca ta została pierwszorzędnie wykonana. Ale trudno nie zauważyć, że metoda polegająca na korzystaniu z daru Dańa w nosić musi w sobie niebezpieczeństwo „konia trojańskiego”. Widzimy je w postaci bohaterki sztuki Elżbiety, mieszczkańskiego pochodzenia żony metalowca Gustawa. Ona jest tym stałym punktem, w którym zawęzła się wątek kryminalny i dookoła którego dopiero dokonywać można odwrócenia ideologicznych założeń sztuki.

Trudno mówić o tych podstawowych założeniach nie ujawniając przebiegu akcji. A tego znowu nie wolno robić, aby nie zepsuć wrażenia tym czytelnikom, którzy zamierzają zobaczyć sztukę. Poprzestać trzeba więc na uwadze, że podłożem, choć nie źródłem dramatu, jest, mówiąc bez obstronku, „gęś drobnomieszczańska”, którą sobie wyga partynijny szantażem nawija koło palca, pchając do upodlenia i zbrodni. W dramacie czysto psychologicznym nie byłoby nieszczęścia, ale w sztuce, której podłożem jest walka światopoglądów, wszystko automa-

MARIAN CZUCHNOWSKI

W żelaznym lesie ko

Poranki wyjazdowe z Londynu są rzekkie, bardziej rzekkie niż popołudniowe wypad, w porównaniu do wieczornych podróży, sennych i trochę szarych. W drogę nie trzeba się obładowywać, wystarczy wziąć nieco osobistych rzeczy, pamiętać o rozkładzie jazdy, nie denerwować się opóźnieniami, odpoczywać w wagonie i patrzeć na mijane szybko okolice. Po ciągi w Anglii są szybkie. Widoki migają za szybami chybkie, jak nogi górala, albo sarny, gdy kto woli jej lotne, strzeliste brzozy. Można patrzeć wielokrotnie na tę samą trasę, znać ją omal na pamięć, ale wciąż, za każdym razem, odnajdziemy w krajobrazie nowe szczegóły. To jakaś malownicza farma, która stoi wśród pól, innych wiosną, odmiennych w lecie, niezauważona poprzednio. Czerwony dach domu wyrzwał teraz nagle z sutej, soczystej zieleni, jak z pejzażu Utrilla. Czasem pole golfowe, jak rozjaśniony aksamiit, załśni między czarnymi budynkami fabrycznymi. Rzeczki starymi ukryte w krzewach pojawiają się nagle, biegną przez pastwiska, które widzimy pierwszy raz, chociaż znamy te okolice. Miasta też zmieniają liście swych parków, osady barwę domów, ogródki kwiaty, kwiaty kolory.

Zawsze podróżowałem z biciem serca i ochotą. Toteż wybrałem się z odczytami w dłuższą turę z prawdziwą przyjemnością. Trasa interesująca z Londynu przez Birmingham, jego okolice, do Liverpoolu, potem Chester, Crewe, Whitechurch, Wem, i z powrotem do Londynu, by dla kontrastu skoczyć na cichą, prawdziwą, starą wieś angielską, niedaleko Thame, w hrabstwie Oxford, zwaną po prostu Moreton.

Dzięki temu, że Zjednoczenie Polskie umożliwiło mi wygłoszenie tych siedmiu odczytów, które zamówili koledzy i przyjaciele z kilku ośrodków polskiego „rozmięszczenia i rozproszenia”, mogłem zaliczyć taki duży pierścien. Stwierdziłem po raz setny, że przyroda jest bardzo hojna dla nas i rozsyła Polaków wszędzie.

Pierwszym miastem w mej wyprawie był sławny Birmingham, chociaż ten przymiotnik można po kolei dać każde wielu miastom angielskim, gdyż każde nieomal ma bajną przeszłość. Rugby czy Coventry nie są gorsze z imienia. Ale wymieniamy jednym tchem przemysłowe miasta angielskie słowo Birmingham ma duży ciężar i znaczenie. Jest to jedno z tych miast przemysłowych świata, którego wyroby zawędrowały tak samo nad Wisłę, jak do Hong-Kongu, na Malaję czy do Egiptu, maszynę, szkło, meble, instrumenty chirurgiczne, narzędzia precyzyjne, cement, bielizna, aparaty naukowe.

Wjazd do miasta strzegą obszerne, czarne przedmieścia, ciasno stłoczone dzielnice, wśród których wyrastają kominny i biegną kilometrami, aż w samym środku zagęszczają się w ogromny las żelazny wysoko stojący ponad ulicami, wieżami kościołów, palacami, szkołami. Aleje i parki zieleniące pod nim używają mu oparcia, jak niższej rozrośnięta puszcza czarnym stuletnim chojarom. Dworce kolejowe, mosty, place i remizy tramwajowe,

place targowe zalane są tłumami. Widać z nasypu długie ulice przeświecające miasto na wskroś.

Atmosfera ruchy ludzi, ich strój, rozmowy, wszystko to jest inne, odmienne od nastroju i życia miast nie mających większości robotniczej. Tu słychać tętno tysięcy fabryk skupionych ściśle, gęsto, dzielnicą za dzielnicą. Wiele robotnic ubranych jak robotnice łódzkie, pabianickie czy sosnowieckie. Ich chusty są tylko bardziej tęsze i zdrowsze, czy weselsze, nie tak zmęczone. Wracają z pracy. Za godzinę znowu opanują kina, restauracje, bary, już inne, ubrane elegancko, w nylonach, z torebkami z kolorowego plastyku, roześmiane, zaczepne, nie różniące się od dziewcząt ze sklepów, aptek, biur, szkół, każda ze złotym zegarkiem na ręku, z jakąś srebrną broszką, w koleżkach wyrabianych w Kairze, na Picadilly, w Bombaju, Marsylii, Nowym Jorku; rękawiczki zamyszowe, uśmiech śmiały, w torebce starczy srebra na drinka czy kolację, nawet starczy na drinka dla boy-frienda, jeśli nie ma. Pod tym względem łódzkie robotnice są, niestety, wciąż jeszcze na tym samym przedmieściu dziewiętnastego wieku, na którym zaczynały ich prababki pracę w fabrykach.

W Birminghamie osiedliło się, pracując w tamtejszych fabrykach, około 3.000 Polaków. Jest to element młody, zdrowy, silny, w wieku od 20 do

REA - SOWIETY

względu na łatwy dostęp przez porty, wybija się niestety na pierwsze miejsce. Stalki „polskie” zawijające tu mają obecnie zawsze zwiększoną załogę, owa nadwyżka „zbiega” zaraz po wylądowaniu, aby wymienić papiery na ładzie ze swymi poprzednikami i pozostaje na miejscu podczas gdy dawni „zbiegowie” powracają z ze-

brany wiadomościami na statek. Zdarzają się też „uchodźcy” przybywający tutaj innymi drogami, ale których papiery wprawiają w podziw władze policyjne, tak są dobrze zrobione.

KOMPROMITOWANIE EMIGRACJI POLITYCZNEJ

Zagadnienie powyższe łączy się ze znanym dążeniem reżymu do skompromitowania emigracji politycznej. Celowi temu służy jeszcze inna grupa „uchodźców”, którzy z kieszeniami pełnymi walut zagranicznych otrzymują polecenie siania demoralizacji, zamętu i wszczynania pospolitych awantur, podając się przy tym za uchodźców politycznych.

Jak poważnie rozmiary przybrało to zjawisko dowodzi, przesadne oczywiście oświadczenie dla prasy jednego z urzędników policyjnych, którego zdaniem z lądujących dziś w Szwecji nielegalnie Polaków nieomal co drugi może być uważany za pozostającego na usługach Bezpieki. Zjednoczenie Polskie w Szwecji przedsięwzięło w związku z tym kroki dla oświetlenia obiektywnie tych faktów w opinii szwedzkiej, z drugiej strony będzie ono jednak zmuszone energicznie przeciwstawić się przenikaniu tych wysocy niepożądanych elementów do kół polskich. Komunistyczno-spiegowska akcja Szwecji jest jeszcze jednym dowodem przygotowań „bloku wschodniego” przeciw Szwecji.

ZAGROZENIE SZWECJI

Z tym wszystkim przypuszczalnie można przyznać rację admirałowi Zachariasowi, zastępcy szefa wywiadu ostatniej wojny, który w sensacyjnej książce, wydanej w połowie b. r. w Waszyngtonie „Za Zamkniętymi Drzwiami” (*Behind the locked door*) zalicza Szwecję do 5 najbardziej zagrożonych zon. Zdaniem admirała, niebezpieczeństwo polega jednakże nie tyle na fakcie militarnych przygotowań sowieckich, co na groźbie nacisku politycznego. Może on bowiem doprowadzić do kapitulacji bez walki. Zdecydować o tym może powiedzący sam Stalin, który dla zachowania neutralności i obrony Szwecji przed „imperializmem amerykańskim” zażąda jedynie współdziałania dla utrzymania pokoju. Jakies nowe wybory wyłonią powiedzący rząd, oparty na stronnictwie powstałym pod tym hasłem, którego premier, jakiś salonowy komunista, wezwany do Moskwy pod-

pisze tam pakt wzajemnej pomocy i... Szwecja znajdzie się wśród satelitów sowieckich.

Schemat powyższy, opisany na podstawie znajomości metod sowiezacji i słabostek charakteru szwedzkiego, jest logiczny i prawdopodobny, choć nie wszystko można oczywiście ściśle przewidzieć. Co prawda słowo „pokój” zawsze w Szwecji miało magnetyczną siłę przyciągającą. Znaczenie jego to nie tylko cena życia kilkuset tysięcy ludzi, utrzymanie cywilizacyjnych i socjalnych zdobyczy, ale przede wszystkim wysoka koniunktura gospodarcza, która podczas dwóch ubiegłych wojen światowych pozwoliła Szwecji podnieść stopę życiową do jednej z najwyższych w świecie.

Ten sposób myślenia jest tak rozpowszechniony, że żadne stronnictwo polityczne nie ośmieliło się mu jeszcze przeciwstawić i z pewnością nikt tego nie uczyni przynajmniej aż do wyborów z dnia 17 września. Już podczas zeszłorocznej debaty parlamentarnej wszystkie cztery stronnictwa, nie licząc naturalnie komunistów, odgrodziły się od Paktu Atlantyckiego i „polityki bloków”, a kiedy w lipcu br. doniesiono z Londynu, jakoby podczas toczących się tam obrad militarnych mocarstw atlantyckich omawiano sprawę zaproszenia Szwecji, to premier Erlander pośpieszył zaraz z oświadczeniem, iż inicjatywa taka, jeśli w istocie zostałaby podjęta — spotkałaby się bezwzględnie z odmową. Z kolei nie pozostało nic innego obradującym, jak kategorię „nie zaprzeczć wiadomości”.

NEUTRALNOŚĆ MIMO WSZYSTKO

Ostatnio, 20 sierpnia br., oświadczył minister spraw zagranicznych prof. Undén: „Jeżeli zdarzyłoby się to straszne nieszczęście, że wojna koreańska przesłabła w wojnę między mocarstwami, polityka Szwecji polegałaby na tym, żeby przy pomocy sił zbrojnych utrzymać terytorium nasze poza wojną, a więc będzie to polityka zbrojnej neutralności”.

Jednym z powodów opisanego wyżej stanowiska Szwecji jest względnie do Finlandii. Uważa się tutaj powszechnie, że bliższe związanie się z Zachodem zaciążyłoby na jej losach, ponieważ związana jest ona z Sowietami paktem przyjaźni z 1947 r., na którego podstawie Sowiety jeśli uznają w „porozumieniu z rządem fińskim”, że kraj ten jest zagrożony, mogą „przyjść z pomocą”, a zatem wpro-

dzić swoje wojska do Finlandii. Czy taką byłaby reakcja Sowietów, trudno przewidzieć — faktem jest natomiast, że zdaniem licznych polityków szwedzkich, argument ten można dziś już odwrócić zaznaczając, że okupacja sąsiedniego kraju będąc zagrożeniem Szwecji automatycznie spowoduje jej przystąpienie do Paktu Atlantyckiego.

Słabą stroną obecnej polityki szwedzkiej jest, że tutejsza obrona nie otrzymuje ani pomocy finansowej, ani uzbrojenia ze Stanów Zjednoczonych. Zakłady Boforsa wszystkiego nie wyrabiają, brakuje wielu patentów i zagranicznych instruktorów. Zasadniczo jednak wiara w możliwość pozostania poza przyszłym konfliktem gruntuje się na dosyć optymistycznym przeświadczeniu, że Skandynawia stanowi dla Sowietów drugorzędny obiekt strategiczny. Zainteresowania sowieckie, jak świadczą przytoczone na wstępie niniejszego artykułu fakty raczej jednak wzrastają. Liczono też, że w potrzebie pomoc aliantów zachodnich i tak automatycznie pojawi się w Skandynawii.

OSTRZEŻENIE KOREAŃSKIE

Tę drugą nadzieję podważyły poważnie dotychczasowe losy konfliktu koreańskiego. Reakcja na wybuch tej wojny była tu dość różna. Jak w Zachodnich Niemczech, tak i tutaj prasa porównywała własne położenie z Południową Koreą, często publikując mapy konturowe, na których Skone, czyli południowa część Szwecji pokrywała się bardzo dokładnie z zaatakowanym terenem. W szerszych kołach początkowo zapytywano telefonicznie, czy należy oczekiwać mobilizacji, ale potem powrócono szybko do codziennych interesów uważając, że cały konflikt rozgrywa się zbyt daleko, by się nim należało przejmować. Zarysował się poniekąd ogólny spadek nastrojów. W rozmowach prywatnych słyszy się niejednokrotnie, że Szwecja bić się nie może, bo przecież sama nie poradzi, a pomoc Ameryki przyjdzie późno i będzie niewystarczająca. Czy podobnie „logiczne” oceny stana się podstawą politycznych decyzji nie można przewidzieć, ale sama ich możliwość powoduje znaczne potencjalne niebezpieczeństwo dla przebywających tu 4-5 tysięcy uchodźców polskich. Obowiązki członków ONZ wypełniła Dania i Norwegia, postawiwszy do dyspozycji część swego tonażu dla transportów na Daleki Wschód, Szwecja ze swej strony zgodnie ze swą tradycją, zakupiła w Stanach Zjednoczonych polowy ambulans, wysyłając jednocześnie jego załogę, liczącą 250 osób samolotami do Ameryki...

Siostrzyce skandynawskie Szwecji — trzeba to jednak podkreślić — słabiej, żeby nie powiedzieć zupełnie nieuzbrojone, zaprojektowały pod wpływem agresji koreańskiej większe sumy na wzmocnienie swego potencjału obronnego (Dania 300 — Norwegia 250 milj. koron). Spowodowało to zresztą kryzys rządowy i zarządzenie nowych wyborów w Danii. Opozycja nie przeciwstawiła się dobrojeniu, ale zaatakowała jednostronne przełożenie wszystkich ciężarów na posiadających. Socjalistyczny gabinet opierający się na mniejszości parlamentarnej i żyjący z laski centrowo-prawicowej opozycji, zmuszony był ustąpić. Storting, czyli parlament norweski poparł w zupełności przedłożenia rządowe, norweska prawica obawiała się jednak, że zaprojektowane uzupełnienia budżetu będą niewystarczające. Obydwa te państwa mają rzeczywiście zaniedbania całych dziesięcioleci. Czy wystarczy im jednak obecnie czasu na zupełne dobrojenie? Szwecja jak dotychczas pod bezpośrednim wpływem doświadczeń koreańskich postanowiła jedynie na skutek porozumienia pomiędzy ministrem obrony Vougtem a głównodowodzącym gen. Jungiem, przyspieszyć zamówione już dostawy. Nic natomiast jeszcze nie słyhać o ogólnym zwiększeniu budżetu obrony. Trzeba przy tym podkreślić, że p. Vougt uważa się więcej za męża zaufania stronnictwa socjalistycznego wobec wyższych wojskowych, niż za rzecznika potrzeb militarnych w gabinecie. 1 i 5 września na konferencji rządu i przedstawicieli obrony z jednej strony i partii politycznych z drugiej — postanowiono wreszcie przyspieszyć pracę nad ogólną reorganizacją sił zbrojnych.

Ostatnimi laty budżet obrony szwedzkiej przeszedł zresztą dość poważną ewolucję z 800 w 1948 roku do 1.300 milj. koron w budżecie tegorocznym (około 215 milj. dolarów). Prze-

de wszystkim rozwija się sieć radarową, broń przeciwpancerną i udoskonala flotę, wcale już zresztą nieleżą wyposażoną. Myśli się też o silniejszej rozbudowie fortyfikacji, uzupełniających naturalne walory obronne tutejszego terenu. Opozycja prawicowa domagała się co prawda powiększenia ilościowego sił zbrojnych i przygotowań ekonomicznych, połączonej z ograniczeniami spożycia, przed wyborami wątpliwe jest jednak, by doszło do tak niepopularnych zarządzeń.

TRZY OBOZY W SZWECJI

Jak dotychczas całe zagadnienie obrony dzieli społeczeństwo szwedzkie dość wyraźnie na 3 grupy i to niezależnie od podziałów partyjnych: 1. stronnictwa polityczne z socjalistycznym na czele, które ze względów taktyczno-wyborczych i zasadniczych (niewiara w szybkość i skuteczność zachodniej pomocy, poleganie na własnych siłach i zręczności dyplomacji) usiłują uprawiać nadal politykę neutralności pomiędzy Wschodem i Zachodem. 2. Drugą linię polityczną przedstawiają koła wojskowe skupione wokół głównodowodzącego. Zahanowane stanowiskiem rządu w swym naturalnym dążeniu do związania przygotowań Szwecji z zachodnimi potencjami, usiłuje ugruntować i zacieśnić przynajmniej pozostające im możliwości takiej współpracy. Zasadą osobistą gen. Junga jest nie tylko anielska cierpliwość wobec swego ministra obrony, ale i śmiałe mówienie prawdy własnemu społeczeństwu. Żąda on otwartej walki z 5-tą kolumną komunistyczną, często jak np. w radzie miejskiej Sztokholmu ochraniającą ze względów taktyczno-partyjnych przez socjal-demokratów. Stara się też psychicznie przygotować naród do ewentualności walki partyzanckiej, zaznaczając wyraźnie, że okupacja przebiegiem nie jest jeszcze nieszczęściem, ale zrezygnowanie z czynnego oporu oznaczać musi likwidację przez Sowietów całych grup społecznych, jak i aktywniejszych jednostek. Słowem, budzi świadomość wygodnie i dostаточно żyjącego społeczeństwa, zafundowanego od 130 lat pokoju. 3. Trzecią, ostrzejszą jeszcze od wojskowej linię polityczną propaguje najpoczytniejszy sztokholmski dziennik „Dagens Nyheter” pod naczelną redakcją starszego już, lecz żywego i bojowego prof. Tingstena. Choć pismo jest organem partii ludowej, w polityce zagranicznej idzie daleko śmieiej, zwłaszcza w stosunku do Sowietów, niż szef stronnictwa, ostrożny prof. Ohlin. „Dagens Nyheter” usiłuje doprowadzić do sojuszu skandynawskiego oraz zrealizować przystąpienie Szwecji do Paktu Atlantyckiego i wywołanie opisanego już powyżej handlowego traktatu z Sowietami.

Zadnego chyba społeczeństwa, poza krótkimi okresami historycznymi, nie można uważać za jednolite, w każdym poszczególne idee polityczne ubiegają się o zwycięstwo. Społeczeństwo szwedzkie nie jest też żadnym wyjątkiem. Jeśli jednak rozwój wydarzeń międzynarodowych nie narzuci mu jakichś jasnych rozwiązań, to o stanowisku tego kraju tak jak to dziś wygląda, zdecydować może w ostatniej chwili głosowanie kilkunastu panów, zasiadających zgodnie z szwedzką konstytucją przy jednym stole pod przewodnictwem sędziwego monarchy i stanowiących jego rząd.

SCHODACH”

J. SŁOWACKIEGO

tycznie nabiera znaczenia symbolu i łatwo o niezamierzone przez autora i niepożądane wnioski u widza.

Zastrzegając się przed tego rodzaju „dobrobytem inwentarza” ze sztuki Somina, trzeba przyznać, że w wersji Hemara sztuka trzyma widza od początku w napięciu i pomimo nieuniknionych momentów konwencjonalnych, czy też pewnej tendencji do melodramatu zajmuje uwagę, jako pasjonująca szarada psychologiczna i kryminalna. Oprócz pióra autora polskiego wiele w tym zasługi reżysera L. Kielanowskiego i świetnie dobranej pary głównych i jedyńskich wykonawców: Jadwigi Domańskiej (żona) i Artura Butschera (mąż).

Domańska ma niezwykle trudne zadanie grania naturalnie kobiety, która coś ukrywa i wywiązuje się z tego z dużym powodzeniem, może tylko zbyt podkreślając maskowanie na premierze londyńskiej. Butscher jest pełen swady dając odmienną postać sceniczną od swej popisowej roli „gospodarza” w „Samych swoich” czy „Trzech wiosnach”. Pod wpływem szczególnego wzruszenia aktorów na scenie „Białego Orła” zatarły się momenty komediowe sztuki, na które tak żywo podobno reagowano na prowincji. Jest to ciekawy przykład, jakim metamorfozom może ulec widowisko na różnych przedstawieniach. W tym ogólnym opisie autorsko, reżysersko, aktorskim najślabiej tym razem i chyba zupełnie wyjątkowo wypadła strona dekoracyjna zawsze poza tym świetnego T. Orłowicza.

Przedstawienie poprzedzono przemową wygłoszoną przez płk. A. Bogustawskiego o charakterze sztuki, reakcji, jaka miała dotychczas i z prośbą o jej równie przychylnie przyjęcie w Londynie.

(J. N. O.)

WĘDRÓWKI PO ANGLII

ominów Birminghamu

30 lat. Skupisko birminghamskie musi je fermentuje, jest pełne drożdży młodości, pewne siebie. Może czasem zbyt pewne! Z tego około 1000 osób bierze czynny udział w życiu polskim, spotykając się bądź to podczas nabożeństw czy też należąc do kilku stowarzyszeń działających w Birminghamie. Reszta wsiąkała w wielkim mieście. Oczywiście nie bez śladu, lecz odsunęła się od aktywnej polskiej gromady.

— Jakie są zarobki w Birminghamie?

— W przemyśle metalurgicznym przeciętnie tygodniówka nie wynosi mniej niż pięć funtów. Niektórzy zarabiają w hutach szkła czy gdzie indziej łącznie z bonusami czy overtime'ami do dziesięciu. Prawdopodobnie wśród nich jest wielu z tych „zaginionych”. Chcą zdobyć trochę pieniędzy, uniezależnić się, kupić dom. Wszyscy robotnicy mieszkają na „prywatkach”. Mieszkania są wszędzie drogie. Tanie w slums'ach. Droższe w dzielnicach willowych. Mieszkać na kupie w slums'ie, to tyle co mieć za trochę tańsze pieniądze kłopot. Nie dziwnego, że każdy się chce dorobić domu.

— Polek jest bardzo mało w Birminghamie. Nie ma nawet 10%. Młodzi chłopcy chcą się też w końcu ożenić, żyć po ludzku, nie wyczelewać tylko na trąbkę, co wezwie do boju. Stąd duże zainteresowanie Angielkami. Jak dotąd Polacy są w Birminghamie po-

pularni, przestępczość jest nieduża, stosunek Anglików życzliwy. Mało jest w Birminghamie polskiej inteligencji. Ci co są, żyją i pracują razem: prawnik z murarzem, artysta ze ślusarzem. Dają sobie radę.

Małych dzieci jest około 20. Wszystkie chodzą do szkół angielskich. Co będzie z nimi w przyszłości, nie wiem.

— Ile jest organizacji i jakie?

— Życie polityczne spi. Ale samopomocowe i społeczne żyje. SPK ma swoich członków. Tak samo ZRRP. Polskie koło katolickie, najmniejsza organizacja, kupia przy kościele św. Michała w Domu Katolickim około 300 osób. Organizacje urządzają obchody, święcą narodowe uroczystości, organizują z rzadka odczyty, pogadanki, spotkania towarzyskie, zabawy.

— A lotnicy? Studenci?

— Koło Samopomocy Lotniczej liczy kilkadziesiąt członków. Studentów na różnych uczelniach jest około 30. Oprócz Domu Katolickiego życie towarzyskie ma swój ruchliwy punkt, zwłaszcza w soboty i niedziele, w domu TPP, gdzie jest 20 stałych mieszkańców, restauracja, czytelnia, sala odczytowa, biblioteka licząca 1000 tomów. Trochę daleko od centrum, ale tramwaje skracają odległości. Poza tym wybrać się można tam dopiero po pracy, to i czas jest tańszy.

Rozmawiam z kilku kolegami, których po latach spotkałem tu. Mają roboty po uszy. Nie narzekają, tylko pracują. Jest to zresztą jedyna wyj-

ście z ogólnego marazmu. Ośrodek birminghamski tak blisko Londynu rzadko jest zaszczytany naszymi wielkościami. Ten sam zarzut można postawić w stosunku do innych skupisk. Czyja wina? Oba strony.

Podtrzymywanie łączności, wzajemna pomoc, życzliwość, szczerść, nie ogładanie się na cement z góry, a przede wszystkim poczucie koleżeństwa mogą zwrócić nam wielu „zaginionych”, którzy wrócą, jeśli będzie realna robota. Wszyscy to potwierdzają. Tak samo prezes koła ZRRP p. L., jak i p. P., kierownik domu TPP, robotnicy, studenci, ich angielskie koleżanki, robotnice; praca może być magnesem. Na to trzeba wysiłku nie tylko garstki przyjaźni i społeczników tamtejszych, ale realnej pomocy londyńskich proroków. Czas, by zleźli z baraniej góry sporów i szerokokich frazesów, a pojechali do Birmingham i gdzie indziej, zobaczyć realne życie polskiego robotnika i jego spytac o polską politykę.

Wkrótce opuszczę żelazny las kominów Birminghamu i pojedę dalej, do Polaków w Kidderminster. Otwieram okno na mokry ogród błyszczący w świetle księżycy i patrzę na szumiące miasto. Liście wilgotne od świeżego deszczu odprężają się i pachną surowizną. Drzwi w hallu stukają raz za razem. Słychać jeszcze rozmowy przed domem. Potem huk tramwaju unoszącego gości z domu TPP, gdzie się zatrzymałem na noc. Trzeba iść spać. Powiew ogrodu wpada do pokoju. Dom cichnie. Kilka późniejszych kropel sypie się z szelestem z jakiejś małej gałązki. Jak ciężkie korałe z długiego sznura. Liczę do pięciu i potem idę na piętro.

CHOROZY, SŁABI, NERWOWI!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

„KALEFLUID”

Używanie naszego wyciągu polepsza na ogół w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości.

U kobiet również w wieku przejściowym. **KALEFLUID** nagrodzony 5 złotymi medalami w Paryżu, Londynie, Rzymie, Florencji i Brukseli. Bezpłatnie wysyłamy opis „sposobu użycia” po polsku!

Laboratoire „KALEFLUID”

66, Bld. Exelmans PARIS (16).
Przedstawicielstwo na Niemcy:
„KALEFLUID” (13b) Munchen 8,
Zornedingerstr. 89.

Listy do Redakcji

Głos w sprawie Wyrwy

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z toczącą się na terenie Ameryki dyskusją na temat powołania do służby w armii amerykańskiej wysiedleńców i odmówienia przez jednego z nich służenia w armii amerykańskiej proszę uprzejmie Szanowną Redakcję do zamieszczenia w swym poczytnym piśmie emigracyjnym niniejszego listu. Jestem jednym z bezpośrednio zainteresowanych w tej sprawie, gdyż w najbliższym czasie mogę otrzymać wezwanie przed komisję poborową.

Mam lat 24. Jesem b. żołnierzem „Szarych Szeregów” i AK i uczestnikiem Powstania Warszawskiego. Jako jeńiec wojenny przebywałem w obozie jęńców w Sandbostel. Zostałem zdemobilizowany jako P. W. X. w Niemczech. Do Stanów Zjednoczonych przybyłem przed trzema miesiącami za pośrednictwem Polonii Amerykańskiej. Jako nowoprzybyły zarejestrowałem się w odpowiednim biurze wojskowym zgodnie z zarządzeniem władz amerykańskich. Z chwilą rozpoczęcia działań wojennych w Korei rząd Stanów Zjednoczonych zarządził pobór do wojska mężczyzn w wieku od 18—26 lat. Poborowi podlegają także mieszkańcy znajdujący się na terenie Ameryki i odpowiadający warunkom ustawy. Jednym z powołanych przed komisję poborową w Chicago był p. T. Wyrwa, b. żołnierz AK. P. Wyrwa odmówił wstąpienia do armii amerykańskiej motywując swoje postępowanie tym, że jest żołnierzem polskim i obowiązują go w dalszym ciągu przysięgi żołnierska, że jest obywatelem Państwa Polskiego i pragnie nim nadal pozostać pomimo, że rząd, który uznaje, nie jest uznawany przez większość państw świata. Wstępując do armii obojętnie obojętnie nawet sprzymierzonego, bez wyraźnego zezwolenia Rządu Polskiego utraci automatycznie obywatelstwo polskie. P. Wyrwa postąpił zgodnie z Konstytucją Amerykańską, która przewiduje tego rodzaju sytuację i zwalnia obywatela ze służby w armii amerykańskiej z tym, że razi on na zawsze prawo do obywatelstwa amerykańskiego. Prawo to ma charakter międzywarodowy i jest honorowane na całym świecie. P. Wyrwa jak i jego ojciec zostali zwolnieni z fabryki, w której pracowali. Poza tym mieli szereg różnego rodzaju przykrości. Wystąpienie p. Wyrwy zostało potępione przez opinię amerykańską jak też i przez większą część Polonii Amerykańskiej. Prasa polska prawie pierwsza potępiła p. Wyrwę. Prasa amerykańska nadaje całej sprawie charakter ogólnopolski, podkreślając, że Wyrwa jest Polakiem. Zaś prasa polska usiłuje ją zlokalizować do osoby p. Wyrwy. Uważam, że tak nie jest. Myślę, że ci, którzy widzą „tylko „jedną czarną owcę” (taki tytuł nosi jeden z artykułów w sprawie p. Wyrwy). Takich „czarnych owiec” jest na pewno więcej, niż się przypuszcza. Jestem jednym z wielu, którzy zastanawiają się, jak postąpić, gdy otrzymają wezwanie przed komisję poborową. Czy pozostać wiernym obowiązkom obywatelskim i żołnierskim wobec Państwa Polskiego, czy też przyjąć służbę w armii amerykańskiej i nie narażać się opinii publicznej? Co czynić? Na to pytanie wielu młodych Polaków szuka odpowiedzi.

Ze smutkiem muszę stwierdzić, że pewna część obecnej emigracji, nazywającej się emigracją polityczną, zajęła negatywne stanowisko w sprawie p. Wyrwy. Nazywamy siebie emigracją polityczną, więc uznajemy legatyn Rząd Polski w Londynie. Jako emigracja polityczna mamy pewne obowiązki względem Rządu i pewne cele, dla których zdecydowaliśmy się na pozostanie i dalszą walkę poza Krajem. Tę pracę możemy kontynuować jako Polacy i obywatele Państwa Polskiego.

Mogę zrozumieć stanowisko Amerykanów polskiego pochodzenia, którzy obowiązują lojalność wobec Ameryki, ale stanowiska tych osób, wchodzących w skład emigracji politycznej, nie rozumiem. Czy tę część zastępić dotarowe runo lub dobrze płatne posady i lek przed utratą ich? Osobiście zgadzam się ze stanowiskiem p. Wyrwy i zdecydowany jestem postąpić podobnie. Zdaję sobie w zupełności sprawę po co zdecydowałem się pozostać na obczyźnie i zna-

sić trud i upokorzenia tutaj żyć. Te obowiązki, które nałożyła na mnie emigracja mogą wypełnić jedynie jako Polak. Pozostatem na obczyźnie, ponieważ drogę powrotu do kraju zamknęło mi oddanie Polski w dalszą niewolę przez moich tego świata, a przede wszystkim przez Amerykę, a nie dlatego, że źle mi było w Polsce i wykorzystałem okazję, aby polepszyć sobie warunki życia. Jestem jedną z tysięcy ofiar Jalty i Teheranu. Moja emigracja jest czasowa, gdyż pragnę, -jak tylko warunki pozwolą, powrócić do Wolnej i Niepodległej Polski.

Wierzę, że w niedalekiej przyszłości mocarstwa światowe z Ameryką na czele uznają prawowity Rząd Polski w Londynie. Z chwilą uznania rządu rozpoczną się organizowanie Armii Polskiej, gdyż rząd bez armii a armia bez rządu istnieć nie mogą. Skąd przyszła Armia Polska czerpać będzie rezerwy żołnierskie, jak nie spośród emigracyjnego społeczeństwa rozszanowanego po całym świecie. A my będziemy walczyli na różnych frontach i w różnych mundurach, tylko nas brak będzie dla powstającej Armii Polskiej. Nie powinno być dla nas obojętnym faktem, w jakiej armii walczyć będziemy. Kraj, który udziela nam gościnności, może żądać od nas wiele, ale nigdy wyrzucenia się własnego kraju i ewentualnej ofiary krwi i życia. Jedynym dysponentem naszych sił naturalnych jest Rząd Polski w Londynie i tylko on może nas powołać w szeregi zbrojne. Niech nasi przyjaciele pamiętają, że my tułacze mamy swój Kraj i obowiązki wobec niego.

Podczas ostatniej wojny Polacy walczyli na wszystkich frontach wojennych ale służyli w armii polskiej pod dowództwem brytyjskim lub francuskim a nie w armii brytyjskiej lub francuskiej. Walczyliśmy i walczyć będziemy „za wolność naszą i waszą”, ale walczyliśmy zawsze pod polskimi sztandarami i na rozkaz władz polskich. Jak świat postąpił z nami podczas ostatniej wojny, w której także biliśmy się za „wolność naszą i waszą”? Gdzież podzielił się nasza wolność? Dziś znów wiele mówi się i pisze o walce „za naszą i waszą wolność”.

Nas żołnierzy obowiązują jeszcze przysięgi żołnierska. Składałem ją w konspiracji. Wojsko polskie zostało zdemobilizowane przez władze alianckie i ze względów politycznych. Czyż można łamać jedną przysięgę, składając przysięgę na wierność innemu krajowi? Co wart jest taki obywatel i żołnierz?

Obywatelstwa nie można zmieniać wraz z koniunkturą. To nie polityka! Czyż ja mam mniejsze obowiązki względem Polski i Państwa Polskiego niż każdy przeciętny Amerykanin wobec Ameryki? Czyż dlatego, że jak mówią „nie ma wolnej Polski” mam wyrzekać się obywatelstwa polskiego? Kraj jak może przeciwstawić się sowietyzacji i walczy o polskość, a ja żyję w wolnym świecie mam przestać być Polakiem. Przyjmując obywatelstwo innego państwa, Polska i jej sprawy staną się dla mnie sprawą drugorzędą. W przysiędze obywatelskiej Stanów Zjednoczonych wyraźnie powiedziano: „... w zupełności i bez żadnych ograniczeń rzekam się i wyrażam wszelkiego posłuszeństwa i wierności w stosunku do jakiegokolwiek księcia, potentata, państwa lub suwerenności, których dotychczas byłem poddany” czy też obywatel.

Spoleczeństwo amerykańskie, jak i Amerykanie polskiego pochodzenia winni zrozumieć naszą sytuację i nie uważać nas „podłymi kreaturami”, „nieudzielnikami”, „wyzyskiwaczami”, „darmozjadami” itp. Jesteśmy wdzięczni za gościnność w ich kraju, ale nie możemy zapomnieć o tym, że jesteśmy Polakami i mamy swoje obowiązki. Nazwa emigracji politycznej winna mieć dla nas właściwy sens a nie być pustym frazesem, którym tak często posługujemy się, chcąc określić nasz powód pozostania poza Krajem.

Niech ci Polacy, którym sprawę polską stają się obojętne, nie załamują rąk i nie obrażają się. Ze p. Wyrwa i jemu podobni „hańbia” dobre imię Polaków, że p. Wyrwa „popisał” nam opinię, że p. Wyrwa Polsce zaszczytnie

POLSCY KOMBATANCI W HOLANDII

Polskie Towarzystwo Katolickie w Holandii, istniejące od r. 1947, grupuje ludzi, którzy podczas wojny opuścili kraj w różnych okolicznościach, i obecnie, w trudnych warunkach na obczyźnie, zrzeczyli się nie tylko dla prowadzenia akcji kulturalno-owsiatowej lecz przede wszystkim w celu dalszej walki o Niepodległość.

Z uwagi na fakt, że większość członków PTK posiada status kombatantki, Zarząd Główny PTK, już w początkach swej działalności, nawiązał kontakt z władzami SPK, który z biegiem czasu przerodził się w ścisłą współpracę.

Od r. 1948 na terenie Holandii działa Delegatura SPK pod kierunkiem kol. inż. J. Heknera; członkowie Delegatury wchodzi w skład Zarządu Głównego PTK. Dzięki istniejącej współpracy między obu Stowarzyszeniami, PTK otrzymało z Londynu kilka wartościowych bibliotek w liczbie około 1000 tomów oraz stale jest zapopatrywane w rozmaite wydawnictwa.

Współpraca ta jest wymownym dowodem realnej wspólnoty polskich kombatantów 2. Wojny Światowej, wbrew licznym granicom i odległościom tysięcy kilometrów.

Dowodem zrozumienia wagi współpracy między PTK a SPK stała się umowa, zawarta między obu Stowarzyszeniami, zatwierdzona zarówno przez 3. Walny Zjazd Delegatów PTK w dn. 14. 3. br. Ze względu na to, że treść tej umowy nie wszędzie została podana do wiadomości, zamieszczam ją poniżej w całości.

Zasady współpracy między PTK i SPK

1. Pobyt b. żołnierzy PSZ na terenie Holandii nakłada z jednej strony na SPK obowiązek roztoczenia nad nimi, jako kombatantami, opieki organizacyjnej z drugiej zaś strony na PTK obowiązek zajęcia się nimi jako polskimi uchodźcami politycznymi.

2. W pełnym zrozumieniu tych obowiązków PTK i SPK zgodnie postanawiają: a) zacieśnić więzy współpracy w dążeniach do przywrócenia narodowi polskiemu wolności i niepodległości w granicach ustalonych na wschodzie przez Traktat Ryski i opartych na zachodzie o Odrę i Nysę, b) pomagać sobie wzajemnie w realizowaniu celów statutowych obu organizacji.

3. Przebywający na terenie Holandii b. żołnierze PSZ mogą wstępować do PTK, które zobowiązuje się do przyjmowania w poczet swych członków rzeczywistych po wykazaniu się przez nich dokumentem demob. PSZ na zachodzie lub ważną legitymacją PSK.

4. B. żołnierze PSZ, przyjęci do Kół PTK, mogą tworzyć w tych Kółach sekcje kombatantki.

5. Współpracę między PTK i SPK zapewniają Zarządy Główne obu organizacji.

6. Zarząd Główny SPK dla realizowania tej współpracy ustanawia w Holandii Delegaturę SPK.

7. Zarząd Główny PTK zobowiązuje

nie przynosi i p. itp. Kto wie czy oni nie zmienia zdania przy najbliższej okazji.

Na szczęście nie wszystkim sprawy polskie stały się obojętne. To można zaobserwować czytając listy czytelników do gazet polskich w sprawie p. Wyrwy.

Kończąc mój list do Szanownej Redakcji pozwolę sobie zacytować niedawno wypowiedziane słowa gen. Wł. Andersa: „... Drogę do Polski nie prowadzi przez legię cudzoziemską i obec mundury. W walce o wolność świata, o porządek Boży na ziemi, o wolność i niepodległość Polski prowadzić nas będzie Orzeł Biały w Koronie i nasze chwalebne okryte standardy...”

Dziękuję za łaskawe udzielenie mi głosu na łamach „Orła Białego”.

Łączę serdeczne pozdrowienia i wyrazy poważania.

Chicago, 1. 9. 1950.

P. S. Pisma emigracyjne zainteresowane w powyższej sprawie proszę o łaskawy przedruk niniejszego listu, gdyż nie znam adresów większości pism emigracyjnych, ani nie mam wolnego czasu, aby pisać do poszczególnych redakcji.

(Nazwisko autora i adres znane Redakcji).

Venlo, we wrześniu.

się uwzględnić przy układaniu list kandydatów do następnego Zarządu Głównego swej organizacji nazwiska mężów zaufania SPK, których za pośrednictwem Delegatury SPK na Holandii przedstawi Zarząd Główny SPK.

8. Powyższe zasady współpracy wchodzi w życie z chwilą przyjęcia ich przez Zarządy Główne obu organizacji.

Truizmem jest — choć warto go czasem wskazywać — że w obliczu biegu wydarzeń i zadań, ciążyących na

wychodźstwie polskim, istnieje konieczność jednoczenia, cementowania polskich organizacji, skupienia ich wokół polskich Władz Państwowych na obczyźnie w celu zapewnienia racjonalnej gospodarki materiałem ludzkim oraz prowadzenia skutecznej polityki polskiej.

Jednym z takich ośrodków krystalizacyjnych jest SPK, którego dotychczasowy dorobek pracy w świetle obrad i uchwał III. Walnego Zjazdu SPK, jaki się odbył w okresie 12—16 sierpnia w Londynie, stanowi jeden z tych elementów, na których legalne Władze Polskie powinny zawsze polegać.

Ref. prasowy PTK i Delegatury SPK w Holandii

S. Werner

Akcja pomocy polakom chorym na gruźlicę

Chcąc należycie ocenić pomoc, którą udzielają Szwadrony Wartownicze w Niemczech Polakom chorym na gruźlicę, trzeba poświęcić kilka słów okresowi przed udzielaniem pomocy.

Po zakończeniu działań wojennych, sanatoria zaczęły zapierać się ofiarami obozów koncentracyjnych, jeńce i ciężkiej pracy przymusowej. Śmierć zbierała żniwa w niespotykanych rozmiarach. Sanatoria I.R.O. dawały łóżko i niewystarczające wyżywienie. Lekarstw, takich jak Streptomycyna, P. A. S. czy Tb 1, nie było.

Rozumiejąc ten katastrofalny stan rzeczy, różne organizacje narodowo-socjalne zorganizowały natychmiastową pomoc. Na czoło wysunęła się organizacja żydowska. Pacjenci już w pierwszych dniach ożywiali we wszystkim, sprowadzeni lekarze żydowscy roztoczyli specjalną opiekę. Wyglądali pacjenci Polscy z zazdrością spoglądali na innych, pytając w myśli: czemu o nas zapomniano, mamy tyle organizacji, tyle się mówi i pisze, a my głodni i zapomniani. Dorywcza pomoc Rady Polonii nie miała wpływu na zmianę tego stanu rzeczy.

W zapomnieniu i z zalem umierały setki Polaków. W tym stanie rzeczy nie do wiary był fakt, że wreszcie znaleźli się ludzie, którzy przypomnieli sobie chorych na gruźlicę Polaków. Ludzie, którzy odrzucili inne sprawy na dalszy plan, by ratować rodaków skazanych przez los na śmierć. Ludźmi tymi byli członkowie Polskich Szwadronów Lotniczych z mjr. Dąbrowskim na czele.

Już na początku różni pesymiści przez zazdrość i wstyd, twierdzili, że akcja upadnie, nie dając rady, na to trzeba milionów i t. p. Najbliższe miesiące zadały kłam małoduszny utyskiwaczom. Z żelaznym uporem trwali na wybranym przez siebie, po-

zornie straconym posterunku. Podzielił się tuszczem, który stawał się gorzki, gdy myśleli o głodnych gruźlicach. Dali markę, by i chory zjadł jabłko i wypił wody...

Dziś potrzebne lekarstwo nie stanowi zagadnienia, dziś nie ma głodnych i zapomnianych. Obfite paczki uzupełniają kaloryczne braki jednostajnego wyżywienia. Tuszcz, wędliny czy owoce otrzymywane w paczkach, dodają sił schorowanym organizmom i wspólnie z koniecznym lekarstwem zwalczają chorobę.

Lecz czy to, co chory dostaje, wystarcza? Na to pytanie odpowiedzieć trzeba — nie. To, co dają Szwadrony, jest bardzo dużo i przechodzi najmielsze oczekiwania chorych. Ale potrzeby są dużo większe.

Dziś już objęto opieką również chorych w sanatoriach niemieckich, w więzieniach i przebywających w domu. Szwadrony, udzielające tak wydatnej pomocy, będą przedtę czy później rozwiązane. I tu stajemy przed trudnym pytaniem: co wtedy? Kto poprowadzi dalej tak ważną akcję? Kto będzie tak wydatnie pomagał? Czy po odejściu tych, którzy dali tak wspaniały przykład, społeczeństwo znów zapomni o chorych na gruźlicę?

Nie po to się o tym pisze, by chwalić Szwadrony Wartownicze, nie dla pochwały niosa oni ulgę chorym rodakom. POLSKIE SERCE każe im pomagać! Zrozumieli, że pomagając chorym rodakom, pomagają Ojczyźnie — uratowany będzie pracował dla POLSKI!

Przyszłość pokaże, czy wszystkie POLSKIE SERCA biją tak, jak serca Szwadronów Wartowniczych. Czy społeczeństwo chce i potrafi ratować chorych na gruźlicę POLAKÓW w Niemczech.

Wł. J. Golębiowski (Gauting).

Lepiej skromnie niż wcale

Piszam nam z Leeds:

Z inicjatywy koła SPK Nr. 413 (prezes p. Łukasz Pagowski) odbyło się dnia 2 września zebranie przedstawicieli organizacji społecznych w Leeds, na którym postanowiono powołać nowy Komitet Porozumiewawczy na miejsce dotychczasowego Komitetu Koordynacyjnego.

Mam teraz również nadzieję, że akcja Skarbu Narodowego przybierze jakiejś szerzej zorganizowanej formy, gdyż obecne osiągnięcia na rzecz Skarbu Nar. należy zawdzięczać jedynie inicjatywie p. B. Zaleskiego, który działał z ramienia sekcji pułkowej I. Pułku Ułanów Krechowieckich.

Myśl zorganizowania obchodu Święta Żołnierza zrodziła się dość wcześnie. Brakiem czasu nie może nikt się tłumaczyć, chyba tylko brakiem zainteresowania i inicjatywy. Na szczęście koło SPK Nr. 413, osierocone w swoim zamierze, nie dało za wygrane. Wyszło z założenia, że lepiej skromnie, niż wcale.

Akademia, która miała odbyć się 19 sierpnia, odbyła się w niedzielę 3-go września. O godz. 4 p. w sali St. Patrick w Leeds, której jedyną dekoracją był afisz o Skarbie Nar., głoszący: „Żołnierzu-Obywatelu, legitymacja Skarbu Narodowego Twoim orężem”, zebrał się Polacy z Leeds i okolicy.

Wstępem i główną częścią akademii było przemówienie p. Łukasza Pagowskiego, który w pierwszych swych słowach przeprosił zgromadzonych za tak ubogi program, oraz wyraził się — „organizatorzy dzisiejszej imprezy mają niepełną nadzieję, że w przy-

szłości kolonia polska w Leeds będzie miała lepiej przygotowane imprezy. Nadzieją tą napawa fakt, że właśnie w dniu wczorajszym nastąpiło porozumienie wszystkich organizacji polskich w Leeds co do zasad współpracy. Na naszym tutejszym podwórku zjednoczenie emigracji stało się faktem”. Dodam tu w duchu — oby Pan Bóg dał to wszędzie i na zawsze.

Następnie p. Pagowski przeszedł do właściwego tematu akademii, zaznaczając, że jest „ona wyrazem czci dla żołnierza polskiego”. „I tego, który zwyciężył 30 lat temu bolszewików i tego, który ugiął się przed 11 laty pod nawałą niemiecko-sowiecką i tego, który zwyciężał na lądzie, w powietrzu i na morzu, a nie może wrócić do Ojczyzny, mimo przelanej krwi”. Mówca oddał również cześć żołnierzowi Armii Krajowej.

W dalszym ciągu przemówienia p. Pagowski bardzo jasno i przystępnie scharakteryzował podłoże polityczne wojny polsko-bolszewickiej w roku 1920. Zakończył on słowami: „Dolży moi staraj, by powrócił do skłatańskich wieloletnią okupacją Kraju z podniesionym czołem, z nieskażonym honorem. Tego żąda od nas Kraj i o to woła krew żołnierzy poległych zarówno w zwycięskiej wojnie 1920 r. jak i w wojnie ostatniej”.

Drugim i ostatnim wystąpieniem była deklaracja p. T. Vere-Bujnowskiego wyjątku z „Kordiana” Juliusza Słowackiego.

Skromną akademię publiczną zakończyła sama odśpiewaniem „Jeszcze Polska nie zginęła”. (T. V.-B.).

ROZDZIAŁ II.

„Pod Ryjem“ było prawie pusto. Może przyczyną była pora dnia, a może przedpołudniowe łapanki osłabiły frekwencję w tej ruchliwej zazwyczaj części miasta.

Lokal mieścił się przy ulicy Marszałkowskiej, pomiędzy placem Zbawiciela a Koszykową i oficjalnie — jak opiewał szyld — nosił nazwę „M. Jabłoński, sprzedaż mięsa i wędlin“, ale bywalcy mówili zawsze „Pod Ryjem“, a niekiedy pieszczotliwie „U Ryjka“. Nazwę tę wymyślił podobno — jeszcze przed wojną — pewien adwokat z sąsiedztwa, który tu zajął doskonale tatarskie kotlety i załatwiał sprawy „ZIP“ (Zaspokojenia Instytutu Płciowego), spóżywając na przedce kolacyjki z dobrze już oswojonymi klientkami. Najprawdopodobniej brzmienie nazwy nawiązało do wielkiego, wypchanego łba dzika, który wisiał (i może wisi) nad wejściem do właściwej knajpy: dwóch niewielkich pokoiów zastawionych heblowanymi, nigdy nie nakrywanyymi obrusem stolami. Wchodziło do nich nie bezpośrednio z ulicy, lecz przez jatkę, a zarazem masarnię słynną z doskonałych wyrobów. Drugi, głębiej położony pokój restauracyjny — do którego wiodły trzy schodki i wąski korytarzyk, zarezerwowany był zwykle dla lepszych gości. Okna jego wychodziły na typowo warszawskie, bardzo ciemne podwórko.

Jak widać z tego opisu „Pod Ryjem“, czy, jak woleli inni, „U Ryjka“ nie było wygody, ani żadnych luksusów. Lokal nie wyróżniał się porównania z większymi i mniejszymi, znacznie bardziej eleganckimi barami ulicy Marszałkowskiej i okolicy. Knajpa posiadała jednak wiele ukrytych zalet, znanych tylko wtajemniczonym. Przed wojną nigdzie nie dostałeś tak świetnych i tak tanich wędlin, schabów lub pieczonych prosiaków a podczas okupacji, nawet w najcięższych czasach, trochę brudnawej kelner podał ci zawsze — jeśli byłeś stałym bywalcem — porcję ziemniaków z kapustą, pod którą był ukryty olbrzymi i smakowity kotlet wieprzowy. Pan Jabłoński (o ile on to był właścicielem lokalu) miał swoje chody i nie pogardził czarnym rynkiem.

Nad takim to kotлетem siedział owego popołudnia w pustym prawie, mniejszym pokoju, kolega Marka z „Egzekutywy“ — Brutus. Jego rudo-płowa czupryna trzęsła się nad talerzem jak wiecheć słomiany na wietrze, a rumiane, gładkie policzki wzdymały się i zapadały na przemian szybkim rytmem wchłaniania nielegalnego mięsa. Naprzeciw, przy tym samym stole, siedział mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni, o bladej, energicznej, ale bardzo zmęczonej twarzy. Pił herbatę. Ta okoliczność mocno niepokoiła Brutusa, bo „Pod Ryjem“ herbaty prawie nikt nie używał, a Gabriel znany był ze wstrętu do napojów poniżej 60%. Fakt, że właśnie w tym dniu odstąpił od swych zasad, mógł świadczyć o nadciągającej burzy lub o jakichś nadzwyczajnych zdarzeniach.

Brutus skończył kotlet i odłożył nóż i widelec: patrzył wyciekającą na zwierznika swymi chłopięcymi oczami. Gabriel spojrzął na ręczny zegarek.

— Piąta trzydzieści — powiedział. — Kontakt był nadany na piątą piętnaście. Zaczę z tobą — może Marek nie przyjdzie. Co z Krzyńską?

Brutus niespokojnie poprawił się w krześle.

— Spóźniłem się na punkt z powodu łapanki — nie byłem na robocie.

— Ach tak. Gdzie była łapanka?

— W Alejach.

— Mogłeś obejść przez Wiejską. Frascati i przez ogrody do Książęcej: na Nowiku już nie łapali. Mieszkaś teraz na Górnośląskiej, aaa? — Gabriel patrzył na chłopca twardo, w oczach już nie miał zmęczenia.

— Tak, proszę pana, poprulem właśnie tamtędy, ale to kawał drogi — w tych ogrodach jakiś samiec wyskoczył na mnie z basem; przecież nie mogłem strzelać. Spóźniłem się pół godziny.

— To czegoś nie poszedł wprost do Krzyńskiej, na Wileżę?

— Franek nie podał mi adresu.

— No dobrze, zobaczymy. Może to jego wina.

Wyciągnął z kieszeni płaszczu jakąś powieść, odszukał sobie wiadomą stronę i zaglądnął jej róg u dołu. Brutus patrzył na to z zaciekawieniem i prawie z nabożnym lękiem: wiedział od kolegów o tajemniczych manipulacjach posępnego zwierznika, który miał własny system mnemotechniczny, ułatwiający pamiętanie szczegółów i orientację w licznych czynnościach (był dowódcą jednego z pięciu warszawskich plutonów akcji specjalnej). Nigdy nie notował, ale zawsze nosił przy sobie rozmaite powieści: polskie, czasem niemieckie — z poplamionymi, dziwnie pozagłanymi kartkami. Rezultat był niezawodny: zawsze wiedział

JANUSZ JASIEŃCZYK

Walter 7,65

POWIEŚĆ

o wszystkim, nie mylił nazwisk ani adresów nie spóźniał się na odprawę.

— Co więcej? — zapytał teraz, chowając książkę: Brutus zauważył jej tytuł: „Lord Jim“ Josepha Conrada.

— Nic, proszę pana. Próbowałem łapać Marka o trzeciej u Maciałka — nie zastałem. Byłem potem o czwartej — biuro już było zamknięte.

— No, no, ciekawe, bardzo ciekawe — powiedział w zamiśle- niu Gabriel i zapatrzył się w przestrzeń. Umęczona twarz oficera nie zdradzała żadnego zainteresowania: pluton jego wykonywał miesięcznie kilkadziesiąt wyroków.

— Ale a propos, nie masz tam jakich „swojaków“? — zagadnął innym tonem, jakby wključając na poufalsze tory.

Brutus aż spościł się z radości: odprawa — przynajmniej dla niego — była już jakby skończona.

— Mam, oczywiście mam — rzekł skwapliwie i zaczął z kieszeni od spodni wyrzucać na stół rozmaite przedmioty: jakaś brudna chustka do nosa, talia kart, ryngraf z Matką Boską (z tym nie rozstawał się nigdy — tradycja, może przesąd — albo wiara zakłeta w srebro); z żółtej szmaty posypały się pistoletowe naboje: nakrył je przedko chustką, zerkając z ukosa na pogrążonego w myślach zwierznika (— chwala Bogu, nie zauważył —).

No nareszcie jest: z uśmiechem tryumfu wyluskał pudełko pa pierosów domowej roboty (nie palił, ale nosił je zawsze na wypadek takiej rozmowy).

— Proszę, są, proszę pana. Mam jeszcze gdzieś Egipskie.

Gabriel niedbalem ruchem sięgnął nad stołem do napoczętej paczki.

— Nie szkodzi. Można wybrać?

Nie czekając na odpowiedź wyciągnął garść papierosów i wsunął do górnej kieszeni marynarki. Tymczasem Brutus znalazł Egipskie:

— Te lepsze, proszę pana.

— Nie szkodzi, kolego, nie szkodzi.

Procedura powtórzyła się z matematyczną rzekłbyś: rytualną ścisłością. Brutus podawał ogień, gdy zaskrzypiał drzwi. Stał nad nim Marek. Jednocześnie jedyny poza nimi gość — jakiś spasiony paskarz — podniósł się od swego stolika i wyszedł. Zostali sami.

Gabriel zaciągnął się mocnym dymem, wypuścił go ostrym stożkiem w górę i dopiero wtedy zapytał, patrząc uważnie na Marka:

— Aaa?

Marek nie odpowiedział. Pytający wzrok zwrócił na Brutusa, który z kolei przesłał szefowi dość niepewne spojrzenie.

— Brutus spóźnił się na punkt przez łapankę. I cóż?

— Wszystko w porządku — rzekł Marek, biorąc kieszło od niego stolika i nie patrząc na Gabriela.

— Kennkarta?

— Nie miała przy sobie żadnych dowodów. W mieszkaniu — bez ubezpieczenia — nie mogłem szukać. Ale wziąłem tę szmatę.

Wyjął z kieszeni jedwabną wzorzystą chustkę i położył na stole: woń mocnych perfum trysnęła w górę niewidzialną fontanną.

— Czy bardzo się męczyła? — zapytał Brutus, sięgając po chusteczkę.

— Bez głupich pytań — przeciał Gabriel. — I ręce przy sobie, nie macać mi dowodów.

Wziął w rękę chustkę, rozwinął i badał obojętnie, jak próbkę towaru, przyslaną do analizy. W rogu znalazł monogram: M i K splecione z jedwabnych nici.

— W porządku — rzekł do Marka. — W każdym razie złożysz zeznanie. Jutro u Franka — niech załączy do sprawy. Podać dokładnie godzinę i okoliczności wykonania wyroku. To także niech załączy.

Oddał Markowi chustkę.

— Trzy ekspresy! — rzucił do kelnera, który właśnie wchodził do pokoju, by obsłużyć nowego gościa.

Tym razem Marek odetchnął z ulgą: rytuał dobiegał końca: oto znajomy kelner ustawia na stoliku trzy angielski czystej-obj- czystej, potem przyjdą trzy następne kolejki — służbowo, urzędowo: przyjemny rausz w głowie — i koniec: spać, spać.

Pili ostro. Po drugiej kolejce, Gabriel rzekł niespodzianie:

(2) — Ale, ale — byłbym zapomniał: Marek przeniesiony do dyspozycji Róży. Zameldujesz się pojutrze, po tym zeznaniu, u Filipa. Olga zaprowadzi cię na kontakt — przysyła ją do ciebie o 10-ej rano — pamiętaj: nie jutro — pojutrze.

Marek słuchał z otwartymi ustami: podniesiona ze stołu szklanka z wodką zawisa w polowie drogi. Opamiętał się wreszcie i wypuścił plyn do gardła jednym potężnym haustem: pił radość, wyzwoleństwo. Już żadnych egzekucji, żadnych twarzy skązonych niedźnią trwogą, żadnych oczu wyskakujących z orbit ani ust sieniejących w otoku białej piany. I żadnych pomyłek...

Gdy Gabriel wyszedł, Korda pożegnał się szybko z Brutusem (który zazdrościł mu nowego przydziału, choć jeszcze przed miesiącem usilnie zabiegał o przyjęcie do „Egzekutywy“) i z lekkim sercem wyskoczył na ulicę.

ROZDZIAŁ III.

Po wzmrożonym ruchu na ulicy poznał Marek, że zbliża się godzina policyjna. Na szczęście był już blisko używanej od tygodnia meliny: schodził w dół ulicą Bednarską, prawie bezładną teraz w porównaniu z tętniącą ostatnią falą życia Krakowskim. Był bardzo zmęczony i śpiący. W pierwszej chwili nie wzrok, lecz nigdy nie zamierzający instynkt dał sygnał niebezpieczeństwa: coś tu nie było w porządku.

Zwolnił kroku i wpatrzył się w ciemny wąwóz ulicy. W dole, już blisko Dobrej, migła przyćmionymi światłami więzienna buda; na jej tle majaczył czarny kształt limuzyny. Korda skrył się w załomie muru: patrzył i liczył w pamięci domy, dzielące go od patrolu Gestapo — nie był wątpliwości: stali przed jego bramą. W słabym świetle bocznego, rzuconego na chodnik reflektora dostrzegł Marek sylwetkę tegoż SS-mana z przewieszonym przez ramię Schmeisserem. Drugi gestapowiec w mundurze mówił coś do cywila w kapeluszu i ciemnym, skórzanym płaszczu. Szofer więziarki trząskał tylnymi drzwiami wozu.

Nie było na co czekać. Marek odwrócił się i ruszył szybko pod górę. Zrównał się przedko z jakimś zapóźnionym przechodniem, wyprzedził go, już dogania drugiego. Nie biegł — to byłoby zbyt podejrzane. Szedł długim, śpiesznym krokiem przechodnia, który zasiedział się u znajomych i nadrabia czas stracony. Nikt go nie ścigał.

Na rogu Krakowskiego zwolnił kroku i odetchnął głęboko. Spojrzał na zegarek: psiakrew, już trzy kwadranse na dziewiątą. Gdy doszedł do przystanku tramwajowego przy Trębackiej zostało tylko trzydzieści minut. Postanowił jechać do Brutusa na Górnośląską.

Tramwaj nie nadjeżdżał, jakiś jegomość stojący obok skinął na zapóźnioną rikszę, ulica zaczęła pustoszeć. Zapalił papierosa i spoglądał co chwila na fosforowane cyfry zegarka: za dziesięć dziewiąta — — (znowu mignęła riksza: zajęta: jakaś zlepona para) — — za osiem dziewiąta — — („dziewiątki“ ani śladu — w ogóle żadnego tramwaju) — — za siedem dziewiąta: ruchomy cień wyskoczył z Trębackiej.

— Riksha! — krzyknął Korda na całe gardło.

— Zajęty, proszę pana — dobiegła go słaba odpowiedź; skreślił na prawo w Krakowskie.

Z pasją rzucił na ziemię niedopałek papierosa, wsunął rękę pod płaszcz i poprawił Waltera: „A no trudno, jeśli nie można inaczej“.

Była za pięć dziewiąta, gdy szybkim krokiem ruszył w kierunku Nowego Świata: od strony Miodowej nadchodził patrol — twardy rytm kroków tętnił echem w pustej, prawie ulicy.

Większość bram była zamknięta. Marek uszedł kilkadziesiąt kroków, minął Królewską i biegł dobrą chwilę zanim dostrzegł odłask światła w uchylonym wejściu do sporej kamienicy. Dopadł go w paru susach i już był na schodach, gdy klucz niedbałego dozorczy zazgrzytał w zamku bramy.

Pierwsze piętro. Po lewej biała emaliowana tablica: „Biuro handlowe...“ — do bani. Po prawej mosiężna wizytówka: „Saliński“ — fajno, chyba nie Volksdeutsche. Zadzwoń: ręka automatycznie spoczęła na rekojęści Waltera. Drzwi się otworzyły niemal natychmiast. Młoda jasnowłosa dziewczyna stała w nich uśmiechnięta niebieskimi oczami i kącikami warg.

— Proszę mi wybaczyć — dotknął dłonią kapelusza — że przychodzę tak późno... godzina policyjna... — zresztą — rąbnął pod wpływem nagłej myśli — chyba uprzedzono pania.

— Ależ tak, oczywiście, proszę bardzo, tylko prędko: do tamtych drzwi.

Marek zdębiał. Mijając wielki przedpokój dostrzegł mnóstwo płaszczy na wieszaku, zza zamkniętych podwójnych drzwi dostrzegł go stłumiony gwar wielu głosów — jakiś dziwny i obcy.

(World copyright reserved) (c. d. n.)

Odbudowa Opactwa w Tyńcu

Odbudowa słynnego klasztoru Benedyktynów w Tyńcu, pod Krakowem — utrwalonym najsilniej może w literaturze polskiej przez Sienkiewicza w „Krzyżakach“ — posunęła się daleko. Warto zatem przypomnieć historię tego polskiego Monte Cassino, które w dziejach polskiej kultury odegrało tak wielką rolę.

Są podstawy udokumentowane właśnie wynikami mrówczej pracy zakonników, że tyńskie wzgórze było zamieszkałe już w IX czy VIII wieku przed Chrystusem. To mało: już wówczas posiadało kompleksy urządzeń obronnych. Stąd zresztą późniejsza nazwa Tyńiec — od „tyń“. Tyle co ogrozdzenie, gród obronny — równoległe z germańskim „tuna“ i brytyjskim „town“ — Wisła płynęła w owym czasie innym, być może, korytem; tak, czy inaczej — miejsce było świetnie wybrane. Skala, rzeka — i jedyny możliwy dostęp przez wysuszone już dziś bagna.

Siedzieli na owym „tyńcu“ najprawdopodobniej Chrobaci; tak przynajmniej chcą na polu legendowe, kronikarskie wspominki — te same, które zwycięstwo nad ostatnim, pogańskim jeszcze dynastą Starżą-Toporczykiem co z Tyńca rywalizował z Wisłią i

Wawel — przypisują dopiero Bolesławowi Chrobremu. I na tym kończy się Tyńiec pogański i książęcy — a zaczyna inny: zakonny i opacki. Dzieje zresztą niejasne: dokument, legata Idziego, sprowadzenie mnichów reguły św. Benedykta przypisuje Chrobremu — kronika Długosza natomiast, a za nią większość współczesnych uczonych przesuwają czas założenia opactwa na czasy Kazimierza Odnowiciela, co wydaje się tym bardziej prawdopodobne, że Kazimierz, sam zresztą wychowany w klasztorze i pierwotnie przeznaczony do stanu duchownego — rzeczywiście przywiózł z sobą, wracając na tron — grupę zakonników benedyktynskich z Nadrenii; wśród nich jest późniejszy arcybiskup Polski, opat Aaron*). Czy zakonnicy owi osiedli na Tyńcu już w 1044, czy dopiero w 1066, za Śmiałego — nie wiadomo; bardziej prawdopodobna wydaje się jednak pierwsza z tych dat.

Reguła św. Benedykta nie była łatwa: praca, modlitwa i wspólne życie pod twardą ręką opata, opatrzonego władzą ojcowską; a władza ojcowska

*) Postać tę utrwalił w literaturze Parnicki we wspaniałej epopei pisanej na emigracji „Srebrne Orły“.

nie była podówczas pustym określeniem.

Ze młoda filia potężnego zakonu trafiła na grunt podatny i czasu nie traciła — świadczy nie tylko wyniki jej działalności cywilizacyjno-organizatorskiej — ale także mnożące się w ciągu wieków klasztorne filialne oraz bratnie, choć bezpośrednio nie wywodzące się z Tyńca zespoły benedyktynskie w Mogilnie, Lubiniu, Łysej Górze, Sieciechowie, Plocku. Opactwo tyńskie wzrasta w sily; wpływy jego sięgają daleko na zachód: w 1139 powstaje opactwo wrocławskie, a w 1259 bezpośrednio od Tyńca zależne opactwo w Orłowej na Śląsku. Wiąże się sieć kościelnego związku ziem śląskich z Polską. Sieć tak mocna, że przetrwała nawet późniejszy polityczny rozdział. I zjawisko charakterystyczne: gdy z wygaśnięciem Piastów orientacja polityczna nastawia się raczej w kierunku ekspansji na wschód — „archiabbatia“ tyńska zachowuje związek z filiami śląskimi; założone już w XVIII wieku klasztor w Horodyszczu i Nieświeżu omijają Tyńiec i związane są wprost z Monte Cassino.

A potem zaczyna się dzieć źle. W roku 1604 umiera ostatni swobodnie wy-

brany opat tyński — Mikołaj Mielecki. Człowiek bez wątplenia dużej miary i ruchliwy zwierznik, odwiedzający Francję i Włochy, sprowadzający samą najlepszą dzieła humanistów i na koniec reorganizator szkoły klasztornej, którą zamienił na gimnazjum, otwierając doń dostęp młodzieży świeckiej.

Pomiędzy 1607 a 1745 rządzi na Tyńcu opaci narzuceni przez dwór królewski. Różni. Niektórzy dbający o poziom i życie zakonu — Sułowski, Lubieński czy Pstrokoński — inni związani słabo nie tylko z Tyńcem, ale w ogóle z sukienką duchowną — jak Hieronim Józef Lubomirski.

W międzyczasie opactwo zostaje spalane i obrabowane przez Szwedów, potem, w roku 1771 — bombardowane i częściowo spalane przez wojska carskie. Bo w okresie tym jest Tyńiec bazą wypadową konfederacji barskiej. Baza, która wytrzymała oblężenie nie było kogo, bo samego Suworowa z 6.000 armią.

Z drugiej jednak strony jest rzeczą zrozumiałą, że w wyniku wszystkich tych nader złożonych przyczyn opactwo podupada mocno. Po rozbiorach rząd austriacki konfiskuje dobra, wwozi księgozbiór i archiwum, a w roku 1805 sprowadza na Tyńiec zakonników niemieckich z Wiblingen, być może licząc na ich „działalność wychowawczą“. Alści nadchodzą wojny

napoleońskie — i polscy benedyktyni z Tyńca przy życzliwej neutralności swych szwabskich współtowarzyszów oświadczają się za Polską... Reakcja rządu jest natychmiastowa i ostra: kasata opactwa.

Dawny przeor tyński Tomasz Ziegler przeniesiony zostaje do Tarnowa — a opactwo płonie raz jeszcze, tym razem od pioruna w roku 1831 — i odtąd systematycznie już i bez przeszkód zamienia się w gruz. Długo — bo aż do r. 1939, gdy na tyńskie ruiny wracają z inicjatywą ks. kard. Sapięhy polscy benedyktyni, wychowankowie szkół zakonnych w Belgii.

W ciągu pięciu powojennych lat odbudowano wcale sporą część tego, co od setek lat leżało w gruzach. Odbudowano pięknie i mocno — znów na setki lat. A fundusze były naprawdę szczupłe. Całe skrzydło kompleksu klasztorowego stoi. Wyrzebuje się romańskie cudeńka. Oczyszcza się krużganki. Konserwuje się freski. Tyńiec powraca do swej dawnej majestatem szaty.

Czy masz już Legitymację SKARBU NARODOWEGO?

Udział Polaków w Kongresach Paryskich

Paryż, we wrześniu.

Chodzi tu o dwa Kongresy ściśle biorąc: IX Międzynarodowy Kongres Nauk Historycznych i również międzynarodowy Kongres Studiów Francuskich. Ten drugi, doskonale zorganizowany, zgromadził kilkudziesięciu profesorów, Anglików, Amerykanów, Belgów, Holendrów, Francuzów, Szwajcarów... i dwóch Polaków. Tematy Kongresu czarujące... Barok w literaturze i jego odmiany ściśle literackie. A poza tym zagadnienia stylistyczne, zwłaszcza zagadnienie „intonacji”, traktowane porównawczo w różnych językach.

Prof. Władysław Folkierski i Z. L. Zaleski zabierają głos w dyskusji. Ale istotniejszą jeszcze może od dyskusji jest ta sumienna wyzyskiwana sposobność do rozmów prywatnych i zeknień towarzyskich.

Nieporównanie donioślejszym (liczbą i tradycją) był Kongres Nauk Historycznych. Tłum uczonych, nieraz wielkiej miary, z całego świata, a raczej z zachodniej jego połowy. „Wschód” nie dopisał. Niektóre kraje pod okupacją, a w każdym razie Polska, przysłały prace. Oto wszystko...

Obowiązek reprezentowania nauki polskiej spadł wyłącznie na uczonych pracujących na obczyźnie. Trzeba przyznać, że wywiązali się oni z tego z całą sumiennością. Nie tylko z sumiennością, ale z niemałym talentem organizacyjnym, nie mówiąc o talentach indywidualnych, o polocie i pasji serdecznej niektórych wystąpień.

Wstępny bojem zdobyli respekt dla grupy polskiej przede wszystkim „Teki Historyczne”, t. j. numer specjalny, poświęcony Kongresowi, a zawierający bądź treść, bądź streszczenia wszystkich komunikatów polskich przedstawianych na Kongresie. *Poliskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii* ma wielką zasługę pod tym względem. Wielka szkoda, iż niektórzy autorowie prac, jak prof. Henryk Paszkiewicz i Otton Laskowski, mimo ogłoszenia prac, na zjazd nie przybyli. Również pp. Jasnowski i Weintraub zapowiedzieli rzeczy ciekawe, lecz na tym zastrzeżeniu ciekawości poprzestali.

O triumfach prof. Haleckiego można długo pisać. Stwierdzimy po prostu, iż wysunął się on niewątpliwie na czołową linię uczestników zjazdu. Nie tylko komunikat jego wywo-

łał poważną dyskusję, ale długi szereg wystąpień w dyskusjach nad obecnymi komunikatami jednał prelegentowi podziw i wielkie uznanie. Trzeba jeszcze dodawać, że prof. Halecki przewodniczył w komisjach z właściwą sobie a wręcz oszałamiającą wirtuozją zarówno techniczną jak językową. Poważną i rzeczową dyskusję wywołał referat gen. Mariana Kukieła pelen akcentów aktualnych, dramatycznych. Równie aktualności pelen, zwłaszcza z polskiego punktu widzenia, referat dra Czesława Chowania o Morzu Czarnym pobudził słuchaczy do żywej wymiany zdań na tematy historyczne tak odległe, a tak bliższe zarazem. Udział przedstawicieli nauki ukraińskiej (prof. Szulgina, Borszczaka i innych) był żywy i życzliwy.

Komunikaty prof. Tadeusza Sulimirskiego i dra Leona Koczy miały również zasłużone powodzenie. Prof. Władysław Folkierski wywołał niezmiernie ożywioną i długą dyskusję komunikatem na temat prawdziwie fascynujący — historyków literatury i kultury — *Dante i Islam*. Wreszcie mój skromniutki komunikat o poglądach Balzaka na Polskę i Rosję miał szczególny przywilej wywołania dyskusji... z akcentem weśłości. Oto jeden z obecnych Francuzów powiedział ni mniej ni więcej: Jakże to Balzak mógł mówić o imperializmie Rosji. Przecie Rosja nigdy nie była imperialistyczna. To tylko emigranci polscy wymyślili imperializm rosyjski...

IX Kongres Historyczny odznaczał się wybitną wstrzeźliwością organizatorów w dziedzinie przyjęć, bankietów i zebrań towarzyskich. Ścisłe biorąc, jedynie *Towarzystwo Historii Francji* urządziło tłumne przyjęcie w przepięknym Hôtel de Rohan, gdzie mieści się Archiwum państwowe. Natomiast na marginesie niejako Kongresu odbyło się przyjęcie na rue Madame przez Komitet Katolicki z prostotą i serdecznością urządzone. Doświadczeni, iż ten sam Komitet Katolicki, złożony z 13 wybitnych uczestników Kongresu, zaprosił również kolegów na piękne nabożeństwo do kaplicy Sorbony. Jak sen przemknęło mi wspomnienie wielkich uroczystości trzechsetlecia Akademii, gdy w tym samym kościele, nieco chłodnym w swej klasycznej strukturze, przemawiał kardynał Baudrillard...

A jednak kto wie, czy nie najwytworniejsze i najserdeczniejsze zarażenie wśród zebranych towarzyskich kongresowych było przyjęcie w Bibliotece Polskiej na Quai d'Orléans. Uczeni francuscy jak Renouvin, Bourgin, Augustin Fliche, belgijscy jak Charlier, austriacy jak Schmid, włoscy i inni, aby wymienić kilku z brzegu, spędzili parę godzin na oglądaniu skarbow Muzeum Mickiewicza, Biblioteki. Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Zwiędle i z prostotą przemawiali gospodarze z prof. Haleckim na czele. Gorąco i ujmująco, z akcentem głębokiej przyjaźni, dziękował prof. Fliche, a po nim słów parę serdecznych powiedział prof. dr. Henryk Schmid z Wiednia. Jakże miłe wspomniano — wszyscy bez wyjątku — świetnie zorganizowany — w wolnej Polsce — Kongres Warszawski. Z. L. Z.

Powrót Marshalla

(Dokończenie ze str. 1)

nia, nieskrępowanego żadnymi zobowiązaniami w stosunku do swych europejskich sojuszników. Londyński „Observer” jest zdania, że te zamiary amerykańskie jeszcze bardziej pogłębią anglo-amerykański rozłam w polityce azjatyckiej.

Oświadczenie Trumana wskazuje, że rząd Stanów Zjednoczonych przyjmuje do wykonania w odniesieniu do Japonii plany gen. MacArthura. Przeważa pogląd, że wpłynęły na to głównie względy polityki wewnętrznej, gdyż w obliczu listopadowych wyborów do Kongresu, rząd robi posunięcia wytrącające oręż z ręki opozycji. Same jednak tylko względy wyborcze nie wystarczyłyby, by popchnąć Stany Zjednoczone na tę drogę. W obliczu zasadniczego i nieobliczalnego w skutkach konfliktu interesów państwowych z Rosją Stany Zjednoczone gwałtownie potrzebują sojuszników tak samo na terenie Europy jak i Azji. Chodzi przy tym o sojuszników, mających materialny i psychiczny zdolność do walki. Dziś, walce na Korei Stany Zjednoczone prowadzą faktycznie same, bo udział innych państw jest raczej symboliczny. Polityka państw Paktu Atlantycznego pozwala jedynie na tworzenie frontu biernego oporu przeciw Rosji, lecz nie daje wystarczających podstaw do polityki czynnej i dynamicznej. A takiej polityki domaga się coraz głośniej naród amerykański. Z tym właśnie czynnikiem muszą się liczyć coraz więcej politycy europejscy, zamiast przywiązywać zbyt dużą wagę do spraw osobowych. Marshall, Truman czy MacArthur, wszyscy oni w ustroju amerykańskiej demokracji są w końcu tylko wykonawcami zbiorowej woli narodu.

Obserwacja gry dyplomatycznej w lonie zachodniego świata nie nasuwa spostrzeżeń budujących. Polityka państw europejskich wydaje się być polityką świadomego organizowania militarnej słabości w celu hamowania Stanów Zjednoczonych w nadziei rozładowania tą drogą groźby wybuchu wojny. Człowiek jednak jest mistrzem w zadawaniu kleski swoim własnym dążeniom. Nie trzeba sięgać zbyt głęboko w przeszłość, by znaleźć przykłady, jak polityka unikania wojny prowadzi do wojny. Przyszły historyk naszych czasów będzie miał być może, okazję do stwierdzenia, że polityka europejskich państw, stwarzając dyplomatyczne pozory jednolici, a faktycznie izolując Stany Zjednoczone pod względem militarnym, przyczyniła się do wybuchu trzeciej wojny światowej w warunkach najbardziej dla Europy niekorzystowych i kleskowych. (S. K.)

Polacy w Brazylii za Skarbem Narodowym

Dnia 20 sierpnia odbywał się w Rio de Janeiro doroczny Walny Zjazd Unii Kulturalnej Polaków w Brazylii. W Zjeździe wzięli udział przedstawiciele wszystkich Stanów, w których istnieje większe skupiska polskie. Imieniem ustępujących władz organizacyjnych składali sprawozdanie: sekretarz generalny, ks. Olgierd Czartoryski i sekretarze stanowi. Miniony okres charakteryzuje się zadawalającym rozwojem organizacji, oraz pogłębieniem jej znaczenia. Ustępującym władzom udzielono jednomyślnie absolutorium. Zjazd wyłonił nowe władze w postaci Rady Naczelnej złożonej z 35 osób, reprezentujących Unię w całej Brazylii. Zjazd podkreślił jednomyślnie i z naciskiem, że Unia stoi niezłomie na stanowisku niepodległościowym, uznając jedynie polskie władze konstytucyjne, znajdujące się obecnie na uchodźstwie w p. Prezydentem R. P. A. Zaleskim na czele i mianowanym przez niego rządem R. P. Telegramy wysłano do P. Prezydenta R. P., urzędującego Premiera i gen. W. Andersa oraz odnośnych władz brazylijskich. Zjazdowi przewodniczył p. min. Skowroński.

Skład Rady Naczelnej: pp. Stefania Lincoln Nodari, Maria Adamowa Tarowska, Janina Propper, Karol Greziak, Stanisław Kara, Olgierd Czartoryski, Piotr Górecki, Bolesław Sliwowski, Jan Sławiński, Piotr Paweł Kranz — z Rio de Janeiro. W. Bolesław Tucholski, Wł. Scipio dei Campo, Zbigniew Arnd, Hanna Cybulska, Józef Kozłowski, Wacław Średnicki — z Sao Paulo, ks. Antoni Rosiński, Edmund Łopatowski, Józef Staszewski, ks. Zygmunt Piotrowski, Zofia Kietlińska, Stanisław Sikorski, Andrzej Mikowski, Józef Gorzkowski — z Parany, Jan Rajn, Józefa Niedental, Tadeusz Trzeźniński, Jan Dziachan, Stanisław Pylak, Franciszek Grzesiuk, Franciszek Bujnowski — Rio Grande do Sul.

W drugiej części Zjazdu pod przewodnictwem p. W. B. Tucholskiego obradowała nowa Rada Naczelna U. K. P. Prezesem Rady na nową kadencję wybrano ponownie p. Karola Greziaka. Wydział Wykonawczy został wyłoniony w składzie następującym: sekretarz generalny U. K. P. — ks. Olgierd Czartoryski, I. zastępca — pułk. Stanisław Kara, II. zast. — Piotr Kranz, skarbnik — Janina Propper, członkowie — Piotr Górecki, W. B. Tucholski, J. Rajn i J. Staszewski.

Podczas obrad rozstrzygnięto szereg istotnych spraw organizacyjnych i administracyjnych. Zarówno Zjazd jak i Rada Naczelna wypowiedziały się jednomyślnie za koniecznością prowadzenia akcji Skarbu Narodowego.

W. B. T.

Wystawa oświatowa w Londynie

W czasie trwania Walnego Zjazdu SPK Wydział Kultury i Oświaty Zarządu Głównego, przy współudziale Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego Zagranicą, zorganizował w świetlicy Domu Kombatanta w Londynie skromną wystawę oświatową, ilustrującą współpracę Stowarzyszenia z innymi organizacjami i placówkami oświatowymi.

Celem wystawy było przede wszystkim przedstawienie możliwości dokształcania na kursach korespondencyjnych dla młodzieży i dorosłych. Dzięki życzliwemu stanowisku komitetu dla Spraw Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii i Kierownictwa Ośrodka Korespondencyjnego w Glasgowie znalazły się na wystawie ciekawe ekspozycje obrazujące pracę tej służzonej placówki dokształcania młodzieży w języku polskim, historii i geografii Polski: wzory lekcyjne, albumy i prace piśmienne uczniów, wykresy, szkice i fotografie.

Drugie stoisko zajęła Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych przedstawiając swój dorobek wydawniczy w postaci skryptów oraz broszury informującej o możliwościach korzystania z kursu korespondencyjnego tej uczelni.

Uwzględniono również dział pracy demonstrujący „Poradnik Świełticowy” wydawany przez Polską Y. M. C. A. jako pismo, poświęcone zagadnieniu prowadzenia pracy oświatowej, czasopisma młodzieży żeńskiej i męskiej, wydawane przez Związek Harcerstwa Polskiego, oraz „Dziatwę” jako jed-

ne na emigracji pismo przeznaczone dla młodzieży do lat 12.

Drugi dział stanowiły wydawnictwa Zarządu Głównego i Oddziału SPK Wielka Brytania: broszury informacyjne oraz 2 cykle wydawnictw „Materiały oświatowe” i podjęte niedawno wspólnie z Polską Y. M. C. A. „Biblioteczka Teatralna”.

Miarą powodzenia wystawy jest cyfra około 1000 osób, które ją oglądały. Większość z nich stanowili Polacy z Londynu, szczególnie rodzice zainteresowani sprawami dokształcania dzieci, nie brakło jednak przyjezdnych z prowincji oraz delegatów SPK spoza Wielkiej Brytanii.

„Polska matura” w Londynie

W niedzielę, dnia 10 września p. minister Zygmunt Rusinek wręczył świadectwa złożenia egzaminu dojrzałości pierwszym 8 absolwentom Polskiej Szkoły dla Dorosłych, kierowanej przez dyr. H. Piekarskiego.

Nauka trwała od czerwca 1949 r. do sierpnia 1950 r. i odbywała się w trudnych warunkach z tego choćby względu, iż uczniowie obciążeni są w dzień pracą zarobkową i tylko wieczory mogli poświęcić na kształcenie.

Świadectwa dojrzałości z zakresu liceum otrzymali: Drażek Karol, Gernakowski Jerzy, Gołębiowski Alfons, Jabłoński Piotr, Krzewina Leon, Łukasz Eryk, Pilecki Władysław, Smółko Henryk.

Premia na miesiąc Wrzesień!

Każdy abonent otrzyma po opłaceniu 1/- kosztów w W. Brytanii i opłaty według stawek na poszczególne kraje (tylko przez przedstawicieli Orła Białego):

J. Ostaszewskiego „Powstanie Warszawskie”

Uwaga: opłatę manip. należy przesłać przed 25 września!

„Przełotem” — P.O. Box 1261, Beyrouth. Cena 1 egzemplarza „Orla Białego” — 50 P.L. (piastów lib.). :-: W POŁUDNIOWEJ AFRYCE: kwartalnie 12/-, rocznie 45/-, Prenumeratę przyjmuje bezpośrednio: Gryf Publications Ltd., 59/61, Hatton Garden, London, E.C.1. :-: W STANACH ZJEDNOCZONYCH: kwartalnie \$1.50, półrocznie \$3. Prenumeratę przyjmują: L. Dudarew-Ossetyński, „Wilno”, 28471 Ventura Boulevard, Agoura P.O. Box 113, California „Gryf” — W. Bieńkowski, 808, Wager St., Utica N.Y. U.S.A. oraz Józef Białasiewicz, 4917, West 24th Place, CICERO III, tel. Olympic 5489 W. :-: OGŁOSZENIA na terenie W. Brytanii firma Carlton Berry Co., Ltd., Grand Buildings, Trafalgar Square, London, W.C.2. CENA OGŁOSZEŃ: za jeden cal przez 14 dni £1.-.

Nadesłanych rękopisów red. nie zwraca. Za treść ogłoszeń redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności.

Adres Redakcji „Orla Białego”: 32, Blenheim Gardens, London, N.W.2. GŁAđstone 4188. Adres Administracji: „Gryf” Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Rd., SW. 11, tel.: BATTERSEA 0879.

Zima nadchodzi!

Wyslij póki czas!

— wysoko cenione w KRAJU

WŁÓCZKA

na swetry marki „EMU” w najl. gat. eksport. na swetry marki „EMU” w najl. gat. eksport.

£1.5.0

£1.0.0

K O C E

białe z puszystej czystej wełny w najl. gatunku 175 x 225 cm. j. w. kolorowe beige, złote, różowe, camel, zielone

£2.17.0

£2.19.0

P L E D Y

CHUSTA z frendlami z miękkiej ciepłej wełny w szkocką kratę, różno-wzory i kolory, 100 x 135 cm. PLED-CHUSTA j. w. 150 x 180 cm. w 3-ch gatunkach

£1.10.0

£2.9.6 — £2.15.0 i £3.2.0

Ceny powyższe obejmują opakowanie, przesyłkę i ubezpieczenie. Wysyła ze składu

FREGATA (Merchants) LTD.,

11, Greek Street, LONDON, W. 1.

Telefon GERrard 2522.

Zapraszamy do obejrzenia wzorów. Biura otwarte codziennie (także w SOBOTY) od 10—6 wieczór.

SKORZYSTAJ Z OKAZJI — przed zapowiedzianą zwykłą cen wełny o 40%!

PRENUMERATA z przesyłką pocztową (opłata za przesyłkę lotniczą wg. taryfy, płatna z góry): W W. BRYTANII szylingów: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/-. Należności za prenumeratę, nadesłaną czekiem Postal Orderem lub Money Orderem, przyjmuje wydawnictwo „Orla Białego” Gryf Publications Ltd., 59/61, Hatton Garden, London, E.C.1. Zmiana adresu is. :-: W BELGII: miesięcznie frb. 20, kwartalnie frb. 60. Zamówienia i należności przyjmuje: Mne. Roskiewicz, 44 rue Th. Vincotte, Bruxelles (Schaerbeck). Należności wpłacać na rachunek pocztowy; Mne. J. Roskiewicz, nr. 3172.28, podając swój dokładny adres. :-: WE FRANCJI franków fr.: miesięcznie 100, kwartalnie 300, rocznie 1.200. Zamówienia oraz należności przyjmuje S-te „Libella” Libraire — 12 rue St. Louis en l'le — Paris 1V. nr. konta pocztowego Paris cc 565150. :-: W HOLLANDII miesięcznie fl.: 1,50, kwartalnie 4,30. Wpłacać przekazem pocztowym: Fr. Malecki, 17 Tulpenlaan, Bij Gelsen (Limburg). :-: W NIEMCZECH: zamówienia i wpłaty przyjmują: M. Gawec, Księgarnia „Wiedza”, (13a) Schwandorf (Bayern), Bahnhofstr. 19. :-: W NORWEGII koron: miesięcznie 3, kwartalnie 8, rocznie 32. Prenumeratę przyjmuje: Narvesens Kiosk Kompanii, Post-box 125, Stortingsgata 2, Oslo. :-: W PORTUGALII: kwartalnie 24 esc., rocznie 95 esc. Prenumeratę przyjmuje: A. Zieliński, Lisboa Cen-

tral, Caixa Postal Nr. 110. :-: W SZWAJCARII franków szw.: miesięcznie 1,50, kwartalnie 4,30. Należności za prenumeratę wpłacać białym czekiem pocztowym (mandat de poste interne) pod adresem: Fribourg 2. Case postale 19. :-: W SZWECJI koron: miesięcznie 3, kwartalnie 8, rocznie 32. Prenumeratę przyjmuje Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II Stockholm. :-: WE WŁOSZECH lirów: kwartalnie 500. Prenumeratę przyjmuje: J. Grochowski, via della Croce 81/8 Roma. Należności wpłacać przekazem pocztowym. :-: W ARGENTynie: kwart. 12 peso, półroc. 24 peso. Prenum. przyjmuje: J. Miecznikowski i T. Dąbrowski, Libreria Polaca, Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires. :-: W BRAZYLII: kwartalnie Cr. 35, półroc. Cr. 70. Prenumeratę przyjmują: w SAO PAULO — H. Müller, Rua Consolacao 3625; w stanie PARANA — Z. Kietlińska, Av. Batel 1514, CURITIBA. :-: W AUSTRALII: prenum. kwart. 15 sh — przyjmują: „Vistula” (Australia) Pty., Ltd., 77, Pitt St., Sydney, oraz Adam Syriatowicz, Immigration Centre, RUSHWORTH, Victoria, prenumeratę kwart. £0.15A, roczna £2.17.6A, opłata kwart. za premie £0.7.6A. :-: W KANADZIE: kwart. \$1.60, półrocznie \$3. — Prenum. przyjmuje: Polska Agencja Książek i Czasopism, 83, Front St. E. Toronto, ONTARIO, CANADA. :-: W LIBANIE: redakcja biuletynu

„Przełotem” — P.O. Box 1261, Beyrouth. Cena 1 egzemplarza „Orla Białego” — 50 P.L. (piastów lib.). :-: W POŁUDNIOWEJ AFRYCE: kwartalnie 12/-, rocznie 45/-, Prenumeratę przyjmuje bezpośrednio: Gryf Publications Ltd., 59/61, Hatton Garden, London, E.C.1. :-: W STANACH ZJEDNOCZONYCH: kwartalnie \$1.50, półrocznie \$3. Prenumeratę przyjmują: L. Dudarew-Ossetyński, „Wilno”, 28471 Ventura Boulevard, Agoura P.O. Box 113, California „Gryf” — W. Bieńkowski, 808, Wager St., Utica N.Y. U.S.A. oraz Józef Białasiewicz, 4917, West 24th Place, CICERO III, tel. Olympic 5489 W. :-: OGŁOSZENIA na terenie W. Brytanii firma Carlton Berry Co., Ltd., Grand Buildings, Trafalgar Square, London, W.C.2. CENA OGŁOSZEŃ: za jeden cal przez 14 dni £1.-.

Nadesłanych rękopisów red. nie zwraca. Za treść ogłoszeń redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności.

Adres Redakcji „Orla Białego”: 32, Blenheim Gardens, London, N.W.2. GŁAđstone 4188. Adres Administracji: „Gryf” Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Rd., SW. 11, tel.: BATTERSEA 0879.